Stron 12

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 20 zł.

wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V | Łódź, 15 lutego 1948 r. | Nr 7 (136)

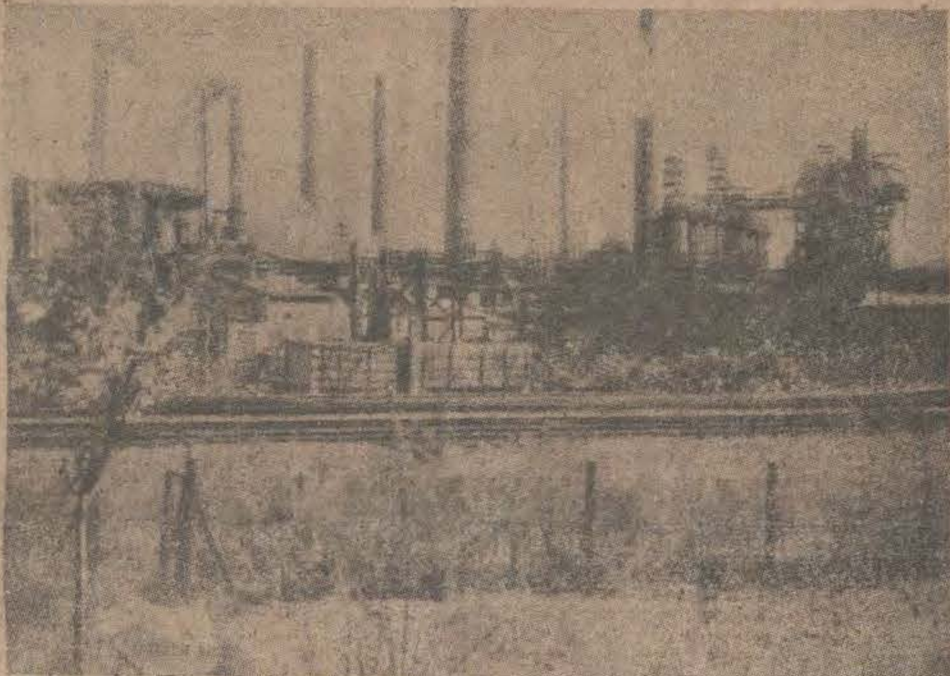
W NUMERZE:

Stanisław Cieślak

PLAN INWESTYCYJNY*)

1. MIARA WYSIŁKÓW INWESTYCYJNYCH

Przystępując do rozważenia zagadnień inwestycyjnych w Polsce, stajemy od razu na samym początku przed zjawiskiem, które możnaby określić „nadmiarem słusznych potrzeb". Pobieżne bowiem nawet rozpatrzenie potrzeb inwestycyjnych w różnych dziedzinach gospodarki i życia społecznego stawia nas wobec cyfr astronomicznych, nie znajdujących żadnego pokrycia w naszych możliwo-



Huta Stołczyn — Szczecin

ściach. Dlatego też państwowy plan inwestycyjny należy przede wszystkim oceniać nie od strony sumowanych potrzeb, lecz od rozważenia planu ogólnego, ustalającego nasze możliwości inwestycyjne. Po starannym wyważeniu naszych zdolności inwestycyjnych, można dopiero przystąpić do podziału puli inwestycyjnej w danym roku między poszczególne działy gospodarstwa narodowego i to według uzasadnionej hierarchii potrzeb, co prawie zawsze nie pokrywa się z wysuwanymi przez zainteresowane gałęzie gospodarki postulatami. Ten plan ogólny zawarty jest w planie odbudowy gospodarczej na lata 1947 — 1949, którego Plan Inwestycyjny na rok 1948 jest szczegółowym rozwinięciem.

Jakie są główne źródła, z których mogą być czynione inwestycje?

Po pierwsze t. zw. akumulowana część dochodu społecznego, po drugie kredyty bankowe t. zw. „antycypacyjne", po trzecie, kredyty zagraniczne. Omówimy je po kolei.

ad 1) Wartość produkcji przemysłowej, rolniczej i usług w pewnym roku określamy pojęciem dochodu społecznego. Dochód społeczny dzieli się na dwie wyraźne części: pierwsza z nich obejmuje to wszystko, co cały naród zużywa na swoje bieżące potrzeby — tę część nazywamy — konsumowaną częścią dochodu społecznego, druga z nich obejmuje to wszystko co odkładamy (oszczędzamy) z naszych bieżących dochodów, aby zwiększyć swe dochody w latach następnych, tę część nazywamy akumulowaną częścią dochodu społecznego.

W krajach o ustabilizowanej gospodarce i wysokim dochodzie społecznym (a tym samym wysokiej stopie życia mieszkańców) podział ten jest rzeczą stosunkowo łatwą. Można oszczędzać bez uszczerbku dla potrzeb bieżących. W trudniejszej sytuacji znajdują się kraje o niskim dochodzie społecznym (a tym samym o niskiej stopie życia). Tutaj ograniczenie potrzeb bieżących na rzecz przyszłości jest sprawą niełatwą. Wymaga dużej dyscypliny gospodarczej, a nieraz i heroizmu. Państwo, które jest w systemie gospodarki planowej czynnikiem rozstrzygającym o podziale dochodu społecznego na część akumulowaną i konsumowaną, musi podejmować te decyzje z dużą rozwagą, aby nie zepchnąć poziomu życia mas ludowych poniżej pewnego minimum egzystencji. Niesłychanie zwłaszcza ważną rzeczą jest sprawiedliwy podział oszczędności między poszczególne warstwy ludności. Ważną a specjalnie trudną w okresie powojennym, przy narastającej dopiero stabilizacji gospodarczej.

W warunkach bowiem ustabilizowanych większość akumulowanej części dochodu społecznego gromadzi się w bankach czy instytucjach finansowych w postaci oszczędności, wkładów terminowych i lokat i łatwo wtedy nimi dysponować. W warunkach powojennych obserwujemy bardzo powolne narastanie oszczędności, a co gorsza — warstwy pośrednie chętnie uciekają się do gromadzenia oszczędności nieujawnionych (w walutach obcych czy wartościowych towarach). Dlatego też państwo musi uciec się do przymusowych środków i przy pomocy podatków, danin, pożyczek wewnętrznych, odpowiedniej polityki kredytowej, polityki płac i cen, ochotniczej pracy na rzecz odbudowy, bądź wreszcie przymusu oszczędzania — gromadzić w instytucjach finansowych akumulowaną część dochodu społecznego. Przyzwyczajenia starego aparatu skarbowego z jednej strony, wysiłki warstw posiadających z drugiej strony — starają się zepchnąć ciężar oszczędności przymusowych na barki świata pracy. Dlatego też potrzebna jest tu ostra czujność rządu ludowego i współpraca mas pracujących, aby ciężar przymusowych oszczędności, we wszystkich swych formach był sprawiedliwie rozłożony. Znajduje to wyraz we wszystkich nowych ustawach podatkowych, w całym systemie kartkowym, w przepisach świeżo uchwalonej ustawy o obowiązku społecznego oszczędzania.

Przed wojną w roku 1938 inwestowaliśmy (głównie z akumulowanej części dochodu społecznego) ok. 13.3 proc. ogólnego dochodu społecznego. W roku 1946 wydaliśmy ok. 23.4 proc., w roku 1947 — 22,4 proc. w r. 1948 planujemy ok. 20.4 proc. ogólnego dochodu społecznego na inwestycje.

Samo porównanie tych liczb nasuwa przypuszczenie, że pokrycie tak wysoko planowanych inwestycyj tylko z akumulowanej części dochodu społecznego musiałoby się odbić w sposób bardzo widoczny na poziomie życia całego społeczeństwa. To, że tak się nie stało, przeciwnie bowiem — obserwujemy powolną ale stałą poprawę bytu mas pracujących, wynika z faktu, że istnieją jeszcze dwa inne źródła inwestycji. Przechodzimy więc do ich kolejnego omówienia.

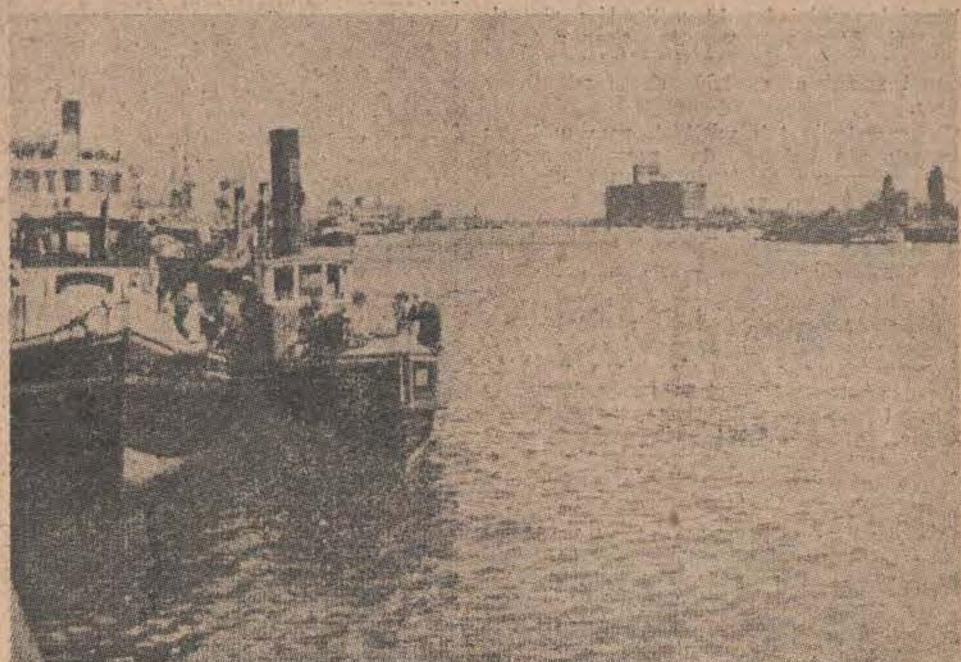
ad 2) Drugim z kolei źródłem inwestycji w Polsce powojennej są t. zw. kredyty „antycypacyjne" czyli, po polsku, **wyprzedzające.** Oparte są one na emisji banknotów przez Narodowy Bank Polski, przy założeniu, że dodatkowa na te cele emisja banknotów użyta zostanie na cele przynoszące efekty produkcyjne w postaci zwiększonego strumienia towarów rzucanych na rynek. W początkowych okresach planu na tej drodze mogła być i została pokryta większa część planu. Jeszcze w roku 1947 (nie mówiąc o roku 1946) — 2/3 potrzeb inwestycyjnych zostało pokryte z tego źródła. Stało się to bez większego uszczerbku dla naszej waluty (zbyt duża bowiem emisja banknotów, nie znajdująca pokrycia w masie towarowej na rynku prowadzi nieuchronnie do katastrofy inflacji) tylko dlatego, że w początkowych okresach inwestycyjnych drobne nieraz remonty częściowo zniszczonych zakładów przemysłowych wyzwalały w krótkim czasie wielki potok towarów. W roku obecnym, gdy przystępujemy do odbudowy zakładów produkcyjnych zniszczonych więcej niż w 50 proc. czerpanie ze źródła kredytów antycypacyjnych musi być bardzo ostrożne i połączone z reglamentacją spożycia i cen.

Widać stąd jasno, że zeszłoroczna akcja stabilizacji cen jak również ograniczanie spożycia (np. dni bezmięsne) była nieodzownym warunkiem powodzenia planu inwestycyjnego zeszłorocznego. Cała ta akcja musi być również utrzymana i w roku bieżącym, jeśli nie chcemy przerzucić całego ciężaru planu na przymusowo akumulowaną część dochodu społecznego.

Sprawa łączy się także z koniecznością ostrożnej polityki w kredytach krótkoterminowych, z których znaczna część zawsze „przecieka" na inwestycje, powiększając w sposób wymykający się spod kontroli pulę kredytów antycypacyjnych.

Trzecim źródłem pokrywania inwestycji są kredyty zagraniczne. Działały one silnie w latach 1946 i 1947 w postaci kredytów towarowych Związku Radzieckiego, spłacanych z produkcji bieżącej, jak również w postaci UNRRA i reparacji wojennych, otrzymywanych za pośrednictwem Związku Radzieckiego z Niemiec oraz z mniejszych kredytów towarowych (m. in. szwedzkich i duńskich) z innych państw. Przykładowo można podać, że z tego źródła pokryliśmy w r. 1947 ok. 22 proc. kwot inwestycyjnych.

Strategia dolarowa uzewnętrzniona w t. zw. planie Marshalla a mająca na celu opanowanie i podporządkowanie Europy imperialistycznym planom USA próbuje nie dopuścić do dalszego rozwoju gospodarczego Polski.



Szczecin — port

Wpływ zagranicy na dwa wyżej wymienione źródła pokrycia inwestycji, poza sianiem paniki gospodarczej i podrywaniem dyscypliny gospodarczej w społeczeństwie polskim jest bardzo ograniczony. Natomiast w dziedzinie kredytów zagranicznych mógłby być większy gdyby nie dwa **ale.** Po pierwsze, jeszcze w Europie Zachodniej tych obiecanych amerykańskich kredytów nie ma, po drugie nawet w stosunku do państw kapitalistycznych, a tym samym podatniejszych na wpływy dolara, nie posiadających węgla jak np. Dania czy Szwecja, Polska posiadająca węgiel na eksport jest tym kto dyktuje, a nie tym kto przyjmuje warunki.

Po drugie nie jesteśmy osamotnieni wobec nacisku dolara i podobną jak Polska politykę obrony niezależności gospodarczej i uczciwej wymiany gospodarczej prowadzi szereg państw ze Związkiem Radzieckim na czele. Stąd współpraca gospodarcza z Czechosłowacją i korzystna dla Polski umowa ze Związkiem Radzieckim gwarantująca Polsce kredyt towarowej wysokości 450 milionów dolarów. Mimo faktu, że dostawy te zagrają dopiero w całej pełni w latach 1949 i 1950 (gdyż żadne państwo nie ma dziś na składzie artykułów inwestycyjnych i musi upłynąć pewien czas od zamówienia do wykonania), możemy być pewni, że źródło kredytów zagranicznych dla finansowania inwestycji nie wyschło jak obawiali się niektórzy ekonomiści.

Ten wstęp poprzedzający omówienie państwowego planu inwestycyjnego na rok 1948 jest dlatego potrzebny, aby uwypuklić trudności, na jakie natrafiamy przy ustaleniu właściwej, starannie obliczonej miary wysiłków inwestycyjnych, możliwych do wykonania w 1948 r. To pozwala zachować trzeźwy stosunek do „nadmiaru słusznych potrzeb," jak również umożliwia zajęcie słusznego stanowiska wobec różnych głosów twierdzących, że mało na to albo na tamto. Ten wstęp jest również odpowiedzią na postulaty, najzupełniej słuszne zresztą, wielu działaczy oświatowych i kulturalnych, którzy chcieliby w tym roku na drodze wielkich inwestycji kulturalnych, oświatowych czy zdrowotnych, wyrównać wieloletnie zaniedbania polskie w tych dziedzinach. Troska o człowieka, o jego potrzeby kulturalne, znalazła dostatecznie mocny wyraz w tegorocznym planie inwestycyjnym, musiał być jednak utrzymany prymat zagadnień produkcyjnych, bo to jest fundament, na którym dopiero można budować wszystko inne.

Zresztą nie tylko możliwości finansowe ograniczają plan. Ograniczają go również możliwości materiałowe, jak też brak dostatecznej liczby wykwalifikowanych sił fachowych. Wprowadzenie nawet bardzo wysokiej sumy do projektu ustawy o planie inwestycyjnym np. na budowę wielkiego nowego mostu w r. 1943 nie da nic, skoro huty mogą go wykonać dopiero po roku od otrzymania zamówienia. Tak samo słuszny np. skądinąd projekt regulacji Wisły wymaga wieloletnich studiów i przygotowań technicznych i nie da się załatwić w obecnym okresie nawet gdybyśmy posiadali na ten cel środki finansowe. Czas wykonania inwestycji również obok finansów, materiałów i siły roboczej musi być brany pod uwagę przy układaniu planu inwestycyjnego. Prace inwestycyjne rozciągnięte na długi okres kosztują zbyt drogo. Ambicją planu jest, aby robota rozpoczęta w tym samym roku została zakończona. W wypadku tworzenia wielkich zakładów, których budowa z konieczności musi

*) Naszym czytelnikom przypominamy prace Stanisława Cieślaka zamieszczane w latach 1946 i 1947 na tematy — rolnictwa w planie odbudowy gospodarczej, podniesienia wydajności produkcyjnej w rolnictwie, struktury nowej spółdzielczości chłopskiej i nowej organizacji zbytu produkcji rolnej. (Przyp. Red.)

się rozciągnąć na wiele lat, rozkłada się budowę na zamknięte etapy (roboty ziemne, uzbrojenie terenu, prace budowlane, instalacja maszyn i urządzeń itd.).

2. CHARAKTERYSTYCZNE CECHY PLANU NA ROK 1948.

Państwowy Plan Inwestycyjny na rok 1948 jest częścią 3-letniego Planu Odbudowy Gospodarczej (1947—1949) i dlatego posiada dwie cechy: po pierwsze jest wciąż planem odbudowy zniszczeń wojennych, po drugie, jest planem przebudowy struktury gospodarczej naszego kraju.

Mówiąc o odbudowie zniszczeń wojennych odróżniać należy odbudowę w sensie materialnym (przywrócenie do stanu poprzedniego) i odbudowę w sensie ekonomicznym (przywrócenie zdolności produkcyjnej). O ile w latach poprzednich mieliśmy do czynienia z rekonstrukcją obiektów w sensie materialnym, to w roku 1948 odbudowując obiekty dokonujemy jednocześnie **umocnienia ich.** O ile w roku 1946 zaledwie 7 proc. planu poszło na unowocześnienie odbudowanych obiektów, to w roku 1947 — liczba ta wzrosła do 16 proc., aby w roku 1948 osiągnąć 34,5 proc. Jest to objaw pocieszający, który świadczy o tym, że odbudowę ekonomiczną ukończymy wcześniej niż z końcem 1949 roku.

W tegorocznym planie inwestycyjnym obok odbudowy zniszczeń wojennych wyraźnie zwłaszcza w przemyśle występować zaczyna zjawisko rozbudowy. Między innymi powstają nowe zupełnie zakłady jak naprzykład wielka fabryka chemiczna w Dworach k. Oświęcimia, która po wykończeniu zatrudni ok. 40 tys. ludzi, wielka huta żelazna nad kanałem Kłodnickim, która podnosi naszą produkcję żelaza i stali (kosztem 300 milionów dolarów), w Starachowicach buduje się wielką fabrykę samochodów, trzecią co do wielkości w Europie o produkcji 10 tys. samochodów ciężarowych rocznie, trzy nowe kopalnie węgla (Gigant, Wesoła, Ziemowit), których produkcja przekroczy 25 milionów kg węgla na dobę, ruszy również w tym roku kopalnictwo i przerób metali nieżelaznych (miedzi, niklu, aluminium), między Koninem a Częstochową w oparciu o nowoodkryte pokłady węgla brunatnego i soli potasowych (a może i ropy naftowej) powstaje nowy wielki ośrodek produkcji przemysłowej, powstają dwie nowe fabryki traktorów itp.

W wykonaniu planu inwestycyjnego na rok 1948 największy nacisk położony będzie na uzyskanie jak największych efektów kosztem jak najmniejszych nakładów. Zagadnienie oszczędności w materiałach, robociźnie, racjonalizacji robót, zastosowanie jak najbardziej nowoczesnych metod pracy, a tym samym najtańszych, staranna analiza kosztów własnych — oto kluczowe problemy przy wykonywaniu planu w r. 1948.

Ma to tym bardziej wielkie znaczenie, że inwestycje roku 1948 koncentrują się w trzech regionach: Górny Śląsk, Szczecin, Warszawa. Zmasowanie prac inwestycyjnych w tych trzech ośrodkach umożliwia zastosowanie zwłaszcza w budownictwie nowoczesnych metod pracy: możliwie jak największego zmechanizowania robót.

Na Górny Śląsk idzie w r. 1948 ok. 40% ogólnej sumy planu t. zn. ok. 80 miliardów złotych. Złożyło się na to wiele przyczyn, głównie obecność podstawowych surowców (węgiel, żelazo) jak również konieczność wielkiego wysiłku inwestycyjnego w dziedzinie budownictwa robotniczego.

Okręg Szczecina (port, miasto i województwo), który w roku 1946 musiał poprzestać na 200 milionach złotych, otrzymuje w roku 1948 sumę **sto razy** większą, bo aż 20 miliardów 200 milionów złotych.

Niewiele mniej bo 19 miliardów złotych otrzymuje Warszawa, poważny skok z 4 miliardów w 1946 r. do 79 miliardów w r. 1948 pozwoli znacznie skrócić okres odbudowy stolicy.

Wykorzystanie tak wielkich sum w kilku okręgach nie byłoby do pomyślenia bez zmechanizowania robót. Nie potrafilibyśmy przebudować np. w Szczecinie 20.2 miliardów złotych, pracując gołymi rękami tak jak za Kazimierza Wielkiego.

Ta koncentracja nakładów inwestycyjnych w trzech okręgach ma swoje dodatnie i ujemne strony. Do dodatnich należy niewątpliwie możliwość zaspokojenia za jednym zamachem całego szerokiego wachlarza potrzeb, co na długi czas zaspokoi dany teren. Ujemną cechą tej koncentracji, nie mówiąc... o zazdrości innych regionów, są dodatkowe trudności w zgromadzeniu sił roboczych, okresowego nasilenia problemów aprowizacyjnych i materiałowych itp.

Koncentracja ta pogłębia również różnice w poziomie cywilizacyjnym Polski Południowo-Wschodniej (woj. białostockie, lubelskie, rzeszowskie, kieleckie i krakowskie) a Polski Północno-Zachodniej. Problem ten stanie w całej swej ostrości w latach najbliższych i zmusi do skoncentrowania wysiłków inwestycyjnych na wschodnich i południowych ziemiach Polski.

Warto również wspomnieć o budownictwie mieszkaniowym robotniczym. Wykazuje ono w r. 1948 w porównaniu z r. 1946 rozrost więcej niż stokrotny (ze 100 milionów na 11 miliardów 200 milionów zł). Ten poważny wzrost, mimo iż rozwiązanie problemu mieszkaniowego z konieczności musi być przesunięte na dalsze lata planu, świadczy wymownie od wszelkich deklaracji o społecznych celach gospodarki planowej w Ludowej Polsce.

Godnym podkreślenia jest również fakt, że plan inwestycyjny na rok 1948 obejmuje o wiele szerszy zakres. O ile plan państwowy z 1946 r. objął zaledwie 60% ruchu inwestycyjnego, to w r. 1947 — ok. 35%, a w r. 1948 już powyżej 70% wszystkich inwestycji dokonywanych w Polsce. Poza planem znajduje się większość inwestycji samorządów i większość inwestycji chłopskich. Pierwsze z nich zostaną niewątpliwie ujęte w plan już w ciągu tego roku. Uchwycenie i pokierowanie w sposób planowy inwestycjami gospodarstw chłopskich stanie się wkrótce centralnym problemem planowania w Polsce. Sprawa wypracowania metod planowania w rolnictwie, wysuwana była już wielokrotnie na łamach „Wsi" przez niżej podpisanego i innych, i wchodzi powoli w okres realizacji.

Ostatnią cechą planu na rok 1948, na którą trzeba zwrócić uwagę jest jego wielkość. Dla porównania zestawimy wysiłki inwestycyjne w różnych latach planu, wyrażone w złotych według jego wartości w IV kwartale 1946 roku:

	1946	1947	1948
Wielkość nakładów inwestycyjnych w miliardach złotych	64	89	106
Realny wzrost w miliardach złotych	—	25	17
Procentowy wzrost nakładów	—	39%	19%

Ponieważ przewidywany wzrost ogólnego dochodu społecznego przekroczy z pewnością więcej niż o 19% stan w roku 1947 stwierdzić należy, że nacisk na dochód społeczny od strony inwestycji będzie w roku bieżącym mniejszy niż w roku zeszłym.

Ponieważ po wykonaniu planu 1948 roku przewidujemy wzrost produkcji o 26%, pozwoli to na podniesienie stopy życia ludności a zwłaszcza realnych płac robotniczych co najmniej o 15%.

3. PODZIAŁ NAKŁADÓW

Zgodnie z założeniami Planu Odbudowy Gospodarczej, który przewiduje przebudowę struktury gospodarczej Polski z rolniczo-przemysłowej na przemysłowo-rolniczą — na pierwszym miejscu co do wielkości nakładów kroczy przemysł sumą 72 miliardów 100 milionów zł (39,5% ogólnej sumy planu). Prawie połowę tej sumy pochłoną trzy podstawowe, kluczowe przemysły: węglowy — 12 miliardów 700 milionów zł, energetyczny 9 miliardów zł i hutniczy — 8 i pół miliarda zł (biorąc pod uwagę tylko cele produkcyjne po odliczeniu 2,8 miliarda na cele dystrybucji, urządzeń socjalnych, szkolnictwa i badań naukowych, które figurują w wydatkach przemysłu).

Co za to otrzymamy? Zwiększenie produkcji przemysłu co najmniej o 26%, a w liczbach szczegółowych:

	1938	1948
węgiel (w mil. ton)	38	67,5
surówka (w tys. ton)	880	1200
stal (w tys. ton)	1 440	1.783
energia elektr. (w mil. kwh)	3977	7.400
nawozy azotowe (w tys. ton)	257	406
nawozy fosforowe (w tys. ton)	165	400
tkaniny wełniane (w tys. m.)	40	45
tkaniny bawełniane (w mil. m)	400	330
cement (w mil. ton)	1,7	1,7
cukier (w tys. ton)	491	520
maszyny elektryczne (w tys. ton)	2,5	4,5
maszyny i narzędzia rolnicze (w tys. ton)	21,9	33,6
wagony towarowe (w tys. sztuk)	0,6	15

Oto przykładowo wybrane plany produkcji różnych gałęzi przemysłu w r. 1948.

Z większych pozycji zwrócić należy uwagę na: nową elektrownię w Janowie, trzy nowe kopalnie węgla na Górnym Śląsku, unowocześnienie Huty Kościuszko kosztem 436 mil. zł, rozbudowę fabryki sody w Mątwach k/Inowrocławia (670 mil. zł), Starachowickie Zakłady Górnicze (400 mil. zł), fabrykę cementu w Szczecinie (100 mil. zł), fabrykę sztucznego jedwabiu w Szczecinie (254 mil. zł), chłodnię w Katowicach (100 mil. zł), Państwowe Zakłady Syntetyczne w Dworach k/Oświęcimia (1225 mil. zł). Fabrykę Przemysłu Organicznego („Rokita" Dolny Śląsk (560 mil. zł.) — elektryfikację 1217 wsi kosztem 2 miliardów zł.

Na drugim miejscu pod względem wysokości nakładów idzie komunikacja i łączność — z sumą 47 miliardów 800 mil. zł (24% ogólnej sumy planów) z tego najwięcej na koleje — 20 miliardów 200 mil. zł, porty i żegluga 9 miliardów zł, drogi kołowe 5,7 miliarda zł, drogi wodne 4,7 miliarda zł.

Spodziewane wyniki będą następujące: przekroczenie przewozów towarów kolejami o 1/5 w por. z r. 1938, przewozu osób o 50% podniesienie przeładunku w portach do 26 mil. ton (w roku 1938 — 16 mil. ton), przewozu na drogach wodnych do 2 milionów 200 tys. ton (w r. 1938 — 742 tys. ton).

Z większych pozycji wymienić należy: kolejowy węzeł warszawski (1500 mil. zł), budowa nowej linii kolejowej (Tomaszów Maz. — Radom), kolejowy węzeł szczeciński (1 miliard zł), odbudowa stała i prowizoryczna wszystkich mostów kolejowych i drogowych na trasach I i II klasy, budowa kabla Warszawa — Katowice (145 mil. zł), przebudowa dróg: Wrocław — Przemyśl (250 mil. zł) Warszawa — Zamość (200 mil. zł), regulacja Odry (ok. 500 mil. zł), odbudowa statków rzecznych (247 mil. zł), odbudowa portów w Gdyni (873 mil. zł), w Gdańsku (769 mil. zł), w Szczecinie (1732 mil. zł), zakup 50 statków morskich (2840 mil. zł).

(d. c. n.)

Stanisław Cieślak

Galicyjski

Zygmunt Lasocki

Odpowiedź na „Starą zasłonę"*)

W artykule p. t. „Na marginesie 50-lecia P.S.L." („Nowe Drogi" Nr 1) przedstawiła p. Rozalia Rybacka, omawiając spór pomiędzy Stapińskim a posłami P.S.L. powstały w roku 1913 na tle projektu reformy wyborczej do sejmu galicyjskiego, Stapińskiego jako ofiarę szantażu politycznego ze strony Andrzeja Średniawskiego i innych posłów, zaś samego Średniawskiego jako chłopa wysługującego się wielkiej własności. Jako przyjaciel ś. p. Średniawskiego, człowieka najzacniejszego i ogólnie szanowanego, uważałem za mój obowiązek ująć się za pamięcią Zmarłego i wykazać bezpodstawność zarzutów p. Rybackiej; uczyniłem to w czasopiśmie „Wieś i Państwo" za maj—czerwiec 1947.

Powodem wspomnianego sporu był fakt, iż Stapiński podówczas prezes P.S.L. przewodniczący klubu poselskiego tego stronnictwa zgodził się był potajemnie, kompromisem z koserwatystami, na projekt utworzenia nowej kurii wyborczej średniej własności o 8 mandatach, wydzielonych z kurii gmin wiejskich, z których 4 przypadały na Polaków i oczywiście służyć miały do wzmocnienia stronnictwa konserwatywnego w sejmie. Zgodził się nadto na petryfikację ustroju rad powiatowych, pomimo, iż przeciw temu już wypowiedziała się była Rada Naczelna PSL, oraz na ustanowienie dla obszarów dworskich, w razie połączenia ich z gminami, dodatków do podatków o 20 proc. niższych, aniżeliby się z obrachunku należało. Kompromis ten podpisał Stapiński po otrzymaniu 80 tysięcy koron od przywódcy konserwatystów, posła Jaworskiego. Gdy transakcja ta wyszła na jaw Jaworski złożył mandat poselski, a Stapiński w pierwszej chwili zrezygnował z prezesury stronnictwa i klubu poselskiego.

Kwestia kurii średniej własności nie była tak błaha, że „pies z kulawą nogą by o nią nie dbał", jak to p. Rybacka przedstawiła w artykule pt. „Rozmowa u starej zasłony" („Wieś" z 14 grudnia 1947). Oto co w tej kwestii pisali tak poważni, nieposzlakowani liczący się z prawdą ludzie, jak posłowie Średniawski i Kędzior, w oświadczeniu z 28 listopada 1913: „Projekt kompromisowy podpisał p. Stapiński nie tylko imieniem własnym, ale jako obowiązujący klub sejmowy. Projekt ten po raz pierwszy przewiduje kurię średniej własności, przeciw której oświadczył się klub parlamentarny PSL. Projekt ten jest najniekorzystniejszy ze wszystkich projektów dla kurii gmin wiejskich. Podczas gdy bowiem liczba posłów z kurii wiejskiej wedle obowiązującej ordynacji wynosi 49.6 proc., to w projekcie kompromisowym spada ten stosunek na 46,2 proc." Oświadczenie to ogłosił w swoim organie „Kurierze Lwowskim" z 1 grudnia 1913 r. Bolesław Wysłouch, jeden z twórców ruchu ludowego w Galicji, który też wystąpił energicznie przeciwko Stapińskiemu.

Z okazji sporu o projekt reformy wyborczej, ustalono także cały szereg brudnych spraw pieniężnych Stapińskiego: koncesję na Bank Ludowy, który miał służyć celom stronnictwa, sprzedał na własny rachunek za 200 tysięcy koron. Od Węgra, barona Poppera otrzymał za wyrobienie mu wielkich wyrębów w galicyjskich lasach państwowych 45 tys. k. Od pewnego magistra farmacji wziął 1000 koron zadatku na wyrobienie mu koncesji na aptekę. Koncesji nie wyrobił, a pieniądze zwrócił dopiero po zagrożeniu mu poruszeniem sprawy w prasie itd. itd.

W przystępie szczerości i skruchy przyznał się Stapiński na posiedzeniu Rady Naczelnej PSL w Rzeszowie do wielu przewinień. Wyznanie jego przytoczył Witos w „Piaście" z 21 grudnia 1913 r. Brzmiało ono następująco: „Sprzedawałem was i interesy stronnictwa" — mówił Stapiński — „łączyłem się na waszą szkodę z konserwatystami, sprzedawałem wasze prawa, walałem się w błocie i korupcji, brałem pieniądze od rządu, od konserwatystów, brałem od Popperów i jeszcze od innych brałem" (powtórzone także w „Piaście" 25 grudnia 1938 r.).

Gdy Stapiński cofnął swoją rezygnację i rozpoczął walkę z opozycją w stronnictwie przyszło do rozłamu i założenia „Piasta". Jest rzeczą zrozumiałą, iż posłowie P. S. L. nie chcieli mieć jako prezesa stronnictwa i klubu poselskiego człowieka sprzedajnego i skompromitowanego licznymi brudnymi aferami pieniężnymi. Dla wystąpienia ich przeciw Stapińskiemu nie było potrzeba ani intryg endeckich, ani dymnych zasłon lub obłoczków, o których p. Rybacka pisze.

Sądzę, że złą przysługę wyświadczyła p. Rybacka pamięci Stapińskiego przedstawiając go jako ofiarę intryg Średniawskiego i innych posłów PSL, gdyż zmusiła do przypomnienia niechlubnych postępków człowieka, który w pewnym okresie swojego życia miał niewątpliwe zasługi dla ludu.

Twierdzenia p. Rybackiej: „z wyborów (w r. 1911) endecy otrzymali tylko 9 mandatów zamiast poprzednich 14-tu, ale za to mieli wzmocnioną bazę w Klubie Ludowców" muszę odeprzeć jako zupełnie bezpodstawne. Żaden z posłów P.S.L. w r. 1913 nie wysługiwał się obcemu stronnictwu, z wyjątkiem wspomnianego wyżej kompromisu Stapińskiego z konserwatystami. Wątpię, by ktokolwiek zajmujący się polityką uwierzył, by jakieś stronnictwo ofiarowało przeszło 1/4 swoich mandatów, aby wzmocnić swoją „bazę" u przeciwników. Walka wyborcza w r. 1911 pomiędzy ludowcami a narodowymi demokratami była zacięta. Doświadczyłem tego na sobie. Posiadam jeszcze plik ulotek, gazet z wymysłami, nawet potwarzami. Musiałem zaskarżyć pewnego potwarcę, który został zasądzony. Po wyborach długo pisała prasa o burzliwych debatach, jakie się toczyły na ich temat w Kole Polskim między narodowymi demokratami a ludowcami. W r. 1913 istniała jeszcze silna niechęć pomiędzy posłami obu stronnictw. W tendencje antysemickie a nawet pogromowe „Piasta", redagowanego podówczas przez Bojkę, o których wspomina p. Rybacka, trudno uwierzyć tym, którzy znali przyjazny stosunek Bojki do Żydów. Sklepiki chłopskie to jeszcze nie antysemityzm.

W artykule swoim p. Rybacka nie zapomniała i o mnie. Wahała się, jak pisze, długo, czy odpowiedzieć p. Lasockiemu, „czy też ze względu na jego wiek sędziwy pozostawić go w spokoju". Konsekwentnie odpowiedziała po upływie blisko pół roku, gdy nie stałem się przecież młodszym. Nad drobnymi docinkami rozwodzić się nie będę, odpowiem jednak na twierdzenie p. Rybackiej, iż ja „jako szef administracji piastowo-endeckiej „Komisji Likwidacyjnej" i „Komisji Rządzącej" sprawowałem władzę za pomocą stanów wyjątkowych, pacyfikacji, egzekucji po 25 i 50 kijów na chłopa."

Polska Komisja Likwidacyjna liczyła 23 członków. Między nimi było 6 ludowców — wśród nich Stapiński, który pomimo zgłoszenia się do rządu lubelskiego pozostał w niej do końca jej istnienia — tudzież 4 narodowych demokratów. Gdyby więc te dwa stronnictwa były zawarły sojusz, czego nie było — pozostałyby i tak w mniejszości. W komisji odgrywali socjaliści znaczną rolę i zajmowali ważne stanowiska.

Komisja była dzielnicowym rządem koalicyjnym wszystkich stronnictw polskich w Galicji a nie piastowo-endeckim.

Nie przeczę bynajmniej, że na mój wniosek P. K. L. uchwaliła zarządzenie wyjątkowe: sądy doraźne. Powody tego zarządzenia podał żydowski organ „Nowy Dziennik" z 14 listopada 1918: „Jak nam komunikują z P. K. L. postanowiła P. K. L. jednomyślnie i w obecności wszystkich stronnictw wprowadzić w powiecie Brzeskim sądy doraźne z powodu licznych wykroczeń przeciwko bezpieczeństwu życia, zdrowia i mienia". Zaś „Naprzód" z tej samej daty pisał:" Sądy doraźne w powiecie brzeskim. Z powodu powtarzających się tamże ustawicznie rozruchów P. K. L. zarządziła ustanowienie sądów doraźnych."

O rozmiarach rozruchów świadczyła relacja biura asystencyjnego generalnego sztabu w Krakowie z 30 grudnia 1918 o interwencji oddziałów asystencyjnych wojska w listopadzie i grudniu w 120 wypadkach, m. in. o przeszkadzaniu pogromom Żydów.

Wykonanie kilkunastu wyroków śmierci sądów doraźnych na bandach, zarządzenia władz administracyjnych, interwencja oddziałów wojskowych, obok starań ludzi dobrej woli (m. in. Średniawski) doprowadziły w końcu roku 1918 do normalnych stosunków bezpieczeństwa w całej zachodniej Galicji, z wyjątkiem tzw. „republiki tarno-brzeskiej", gdzie, wskutek niesumiennej agitacji rozruchy, grabieże, a nawet morderstwa trwały jeszcze w styczniu 1919. Komisarz P. K. L. Łacki, syn chłopski, gorliwy ludowiec, dalej komendant wojskowy pow. tarnobrzeskiego, zarząd miasta Tarnobrzega, przedstawiciele Żydów tarnobrzeskich i rozwadowskich, również jak i spokojnej większości mieszkańców tej okolicy, a także Naczelny Związek Nauczycielstwa w imieniu nauczycieli, zwrócili się do P. K. L. o pomoc i ochronę. Wysłany oddział wojska przyjęty został w niektórych miejscowościach strzałami. Wojsko rozgoryczone przeprowadziło rewizję w poszukiwaniu broni, a gdzie ją znaleziono, wykonywano doraźnie chłostę na jej posiadaczach. Wtedy dopiero wydano w powiecie tarnobrzeskim około 2.000 broni palnej, przeważnie karabinów, czego nie uczyniono przedtem na zarządzenie władz. Na postępowanie wojska oczywiście żadnego wpływu nie miałem. Nikomu stosowania kary chłosty nie polecałem.

Widocznie moje urzędowanie za czasów P. K. L. i Komisji Rządzącej nie było tak tyrańskie, jak to sobie p. Rybacka wyobraża, kiedy przedstawiciele wszystkich stronnictw w tej komisji (m. in. przedstawiciele P. P. S.) przed jej rozwiązaniem — jak świadczy protokół z 26 marca 1919 — uchwalil jednogłośnie wyrazić uznanie i podziękowanie zarówno prezydium Komisji, „jak też administracji politycznej kraju, która z wzorową lojalnością i w należytym zrozumieniu publicznego dobra użyczyła Komisji Rządzącej pełnego i skutecznego poparcia w całym zakresie jej urzędowania". Działalność moja w okresie 1918/19 nie była zapewne ujemną kiedy otrzymałem za nią Krzyż Oswobodzenia Krakowa, Lwowskie Orlęta, Krzyż Walecznych, tudzież za okres mojego życia do roku 1921 Komandorię Orderu Odrodzenia Polski „w uznaniu zasług położonych w ciągu długoletniej pracy publicznej dla dobra społeczeństwa polskiego." (Monitor Polski 31.12.1921 r.).

Zygmunt Lasocki

---

*) Patrz: R. Rybacka „Rozmowa u starej zasłony", „Wieś", nr 48.

ruch ludowy*)

Maciej Czuła

Zdradzieckie zakręty

Miło jest czasem — zwłaszcza na jesieni życia „podumać i potęsknić" za dawno przeszłymi zdarzeniami w ruchu ludowym, bo się można wiele z nich nauczyć. Przeżywa się wtedy emocje wtórnej niejako młodości, odczuwa żal, że te „lepsze czasy" bezpowrotnie minęły. Bo inne były czasy, inni ludzie, inna moralność, inne spojrzenie na świat. Kto by się np. mógł spodziewać, o czym dowiedziałem się w latach młodych, że kiedy w 1876/7 r. proboszczem kulikowskim pod Lwowem został — słynny już wtedy kaznodzieja, a niedługo i trybun ludowy ks. Stanisław Stojałowski, to gdy przyjeżdżał do Lwowa, aby robić w drukarni korektę swojego tygodnika ludowego „Wieńca — Pszczółki" — prosto potem jechał do pałacu namiestnikowskiego, ażeby być na czwartkowym proszonym obiedzie u namiestnika hr. Alfreda Potockiego. Zjeżdżała się tam na owe proszone obiady sama arystokracja, hofraty w galowych strojach oraz biskupi. Dlaczego hr. Potocki zapraszał do siebie w każdy czwartek nie tak bardzo jeszcze znanego kulikowskiego proboszcza i dlaczego przyszły pogromca szlachty i kleru korzystał z tych zaprosin? Kto tu kogo chciał oszukać i podejść, pozostanie tajemnicą — tyle tylko wiadomo, że sielanka ks. Stojałowskiego z arystokracją i wyższym duchowieństwem skończyła się dla niego nader żałośnie, bo inaczej skończyć się nie mogła. Gdy odmówił im posłuszeństwa odebrano mu probostwo i włóczono z więzienia do więzienia. Robiła to ta sama arystokracja i wyższa biurokracja, która tyle pięknych słówek dla ks. Stojałowskiego na obiedzie u namiestnika miała i ci sami biskupi, którzy, gdy ich nie posłuchał — zamówili dla niego klątwę w Rzymie. Na flirtach przywódców ludowych z obszarnictwem, a później z jego spadkobierczynią — endecją żaden z nich dobrze nie wyszedł — i stąd popełniono tyle błędów w polityce ludowej.

Właścicielką Kulikowa, gdzie ks. Stojałowski był proboszczem — była wówczas jaśnie oświecona pani Kielanowska — podeszła już w latach matrona i ona tę wieś zapisała jeszcze za życia ks. Stojałowskiemu z pominięciem rodziny. Kiedy jednak umarła — rodzina wszczęła o tę wieś proces z ks. Stojałowskim i zdaje się, że za cichą jego zgodą — sprawę w sądzie całkowicie wygrała. I nie to jest ważne, ale pytanie jakie byłyby dalsze losy pierwszych zaczątków ruchu ludowego w Galicji, gdyby np. ks. Stojałowski proces o wieś wygrał i jął się zamiast polityki gospodarowania na kilkusetmorgowym folwarku?

Inna „jaśnie oświecona" hrabina Potocka z Rymanowa — hojnie podobno w różnych opresjach (a miał ich dużo) ks. Stojałowskiego wspierała, pozostając długo cichą jego opiekunką.

Jakie były motywy, którymi kierowały się dwie ekscentryczne arystokratki w popieraniu wielkiego trybuna ludowego, pozostanie tajemnicą — można tylko z tego wnosić, że osobowość ks. Stojałowskiego musiała być potężna i robiła swymi czynami odpowiednie wrażenie, skoro nie mogły się jej oprzeć nawet arystokratki.

Był to wódz odważny, zawzięty, ale dobry i kompromisowy. Gdy w czasie największych prześladowań osiadł naprzód w Czasy na Węgrzech, a potem w Białej na granicy Śląska, przez pokoje niskich jego progów redakcyjnych przewalały się nie tylko gromady chłopów i robotników, ale także inteligencji. Bywali tam współpracownicy pism zarówno klerykalnych jak konserwatywnych i postępowych, a nawet socjalistycznych. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, skoro w jednym z listów pisanych do przywódcy PPS, Daszyńskiego, pisał: „Czy do partii wstąpię, nie wiem — socjalistą już jestem"*) — Widziało się tam także ówczesnego redaktora „Słowa Polskiego" we Lwowie, a niedawnego wiceprezesa Krajowej Rady Narodowej prof. Stanisława Grabskiego. Gdzieś w r. 1908 odbywało się w Bochni zgromadzenie ludowe, na którym wystąpili zacięci już wtedy przeciwnicy: ks. Stojałowski i Jan Stapiński. Przemawiał jeden to znowu drugi mówca, ale ponieważ obydwaj byli nielada gracze i w szermierce słownej nie mógł jeden drugiego zwalczyć, szala zwycięstwa nie chciała się przechylić na żadną stronę.

Wówczas Stapiński wyprowadzony z równowagi przedłużającą się debatą rzucił pod adresem ks. Stojałowskiego jakieś ostrzejsze słowo, na które ks. Stojałowski zareagował uderzeniem Stapińskiego w twarz.

Stapiński nie obraził się, ale przybrawszy na takie „dictum" odpowiednio bolesną minę — wyrzekł donośnym głosem: „To dla ludu." Efekt tego słowa musiał być nadzwyczajny skoro po nim zwycięstwo przechyliło się wyraźnie na stronę Stapińskiego.

I jeszcze jedno o ks. Stojałowskim wspomnienie: Kiedy w r. 1906 robił ks. Stojałowski objazdy po wioskach podkrakowskich, zawitał i do mojej wioski Grabie, gdzie odbył w niedzielę wielki wiec pod gołym niebem. Ówczesny proboszcz w Grabiu ks. Józef Raźny przerażony najazdem na jego parafię niedawno wyklętego „konfratra" i w obawie, żeby ks. Stojałowskiemu nie zachciało się odprawić w kościele mszy św. zabrał klucz od kościoła — i zaniechawszy odprawienia nabożeństwa uciekł do Niepołomic, skąd wrócił — gdy ks. Stojałowski już odjechał. Oczywiście ludzie łącznie z kobietami i dziećmi — nie mogąc się dostać do kościoła — poszli tłumnie na wiec, przez co wypadł on nader imponująco. A gdy się potem ktoś żartobliwie zapytał idących z wiecu ludzi, co by woleli nabożeństwo, czy wiec — jeden z chłopów odpowiedział dyplomatycznie: „Nabożeństwa mamy co niedzielę, a na ks. Stojałowskiego czekaliśmy kilka lat" Oto jak politykowano przed 50 laty.

Los zdarzył, że w r. 1922 zjechał do Tarnowa, gdzie wtedy mieszkałem, z odczytem o Japonii znany powieściopisarz Wacław Sieroszewski. Odczyt urządzał i salę odstąpił miejscowy Komitet P. P . S., który kilka zaproszeń wysłał także do Komitetu P. S. L. Udaliśmy się na odczyt gremialnie. Cóż, skoro sala była tak przepełniona, żeśmy z trudem osiągnęli mały zaledwie kącik do stania. Zauważył to prezes P. P. S., prof. Kasper Ciołkosz (zginął w Oświęcimiu) i zaprosił nas na pierwsze siedzące miejsca. Gdyśmy mu potem dziękowali odparł „Politykowanie może mieć tylko wtedy pełną wartość — gdy przeciwnicy nie tylko walczą, ale potrafią także znosić się i szanować wzajemnie. Inaczej zżarłaby nas nienawiść — a do tego nie należy dopuszczać." W tym samym roku w okresie wyborów wychodziło w Tarnowie pismo P. S. L. pt. „Lud Polski". Był to okres dość namiętnej walki z endecją i tarnowskim duchowieństwem, które pod opieką Biskupa Wałęgi chciało za wszelką cenę położyć ludowców. Nie można było do tego dopuścić — stąd też na ataki politykującego Kościoła — odpowiadało się śmiało i dobitnie, a że poniektóremu księżynie oberwało się czasem nawet więcej, niż na to zasługiwał, na to nikt uwagi nie zwracał. Ba, ale właścicielka drukarni, w której drukował się „Lud" niejaka p. Piszowa — namówiona widocznie przez księży oświadczyła nam pewnego razu, że jeżeli ataków na księży nie zaprzestaniemy — wymówi nam druk gazety! A tu wybory na karku. Co robić? Jakiś czas ulegamy jej tedy — a w międzyczasie robimy wszystko, żeby uzyskać od niej podpisanie umowy na 3 miesiące. Gdy się nareszcie to udało, księża i endecy dostawali tak potężne cięgi, że z kretesem wybory przegrali, a pełne zwycięstwo odniosło Polskie Stronnictwo Ludowe!

Powyższe wspomnienia nasuwały mi się przy czytaniu artykułu ob. Rozalii Rybackiej w nr 48 „Wsi" pt. „Rozmowa u starej zasłony", bowiem jeśli chodzi o przeszłość ruchu ludowego powinno się z niego wydobywać tylko zdarzenia pogodne, takie, które temu ruchowi przynoszą zaszczyt i chwałę, albo, które czegoć uczą młode pokolenie, ale nie powinno się rozdzierać ran, które nie dawno zasklepły.

Ob. Rybacka pisze, że „gęsta zasłona okrywa nie tylko moment założenia „Piasta" ale i cały długi okres poprzedzający ten moment..." „starano się grubą zasłoną kłamstw i legend zakryć przeszłość ruchu ludowego i zasłonić zdradziecki **zakręt** na rozstaju..."

Ob. Rybacka, jeżeli jest historykiem, zna zapewne kapitalną książkę traktującą wyczerpująco o rozłamie w P. P. S. w r. 1913, mianowicie, Pamiętniki wodza polskiego socjalizmu Ignacego Daszyńskiego, oraz pracę Stanisława Szczepańskiego pt. „Z dziejów ruchu ludowego w Polsce". Cóż tam czytamy? „Obrzydliwa sprawa pieniędzy rządowych, które p. S. otrzymał bezpośrednio z rąk konserwatystów, żeby P. S. L. popierało rząd rozległa się szerokim echem po całym kraju. W dniu 22 stycznia 1913 r. (parę miesięcy przed rozłamem) ofiarował poseł dr. J. p. S. 80.000 koron pochodzących od rządu" *). A. St. Szczepański, wówczas członek Rady Naczelnej P. S. L., a późniejszy poseł „Wyzwolenia" pisze w tym przedmiocie następująco: „Konszachty z konserwatystami miały początek w r. 1907, a w r. 1911 skrojono pakt z konserwatystami..."*)

Czy Ob. Rybacka nie mogłaby nam wytłumaczyć, kto stał wówczas na czele P. S. L.?

Można śmiało przypuścić, że ówczesny prezes P. S. L. nie użył pobranych od rządu austriackiego pieniędzy (80.000 kor.), o czym wspomina Daszyński, na swoje osobiste potrzeby, ale wydał je na potrzeby ludu i stronnictwa, na kupno drukarni itd. Tego rodzaju fanatycy idei nigdy nie dbali o osobiste zyski. Ale fakt przekupstwa był niestety dowiedziony i większość olbrzymia posłów ludowych musiała z tego wysnuć konsekwencje całkiem niechwalebne. I te zdarzenia były przyczyną rozłamu w r. 1913, a nie jakieś endeckie zabiegi, co stara się sugerować czytelnikom p. Rybacka. Że endecja a także i inne stronnictwa miały zawsze pobożne życzenie korzystania z rozłamów w P. S. L. jest więcej jak pewne ale, że im się to nie zawsze udawało, to także prawda.

Endecja tak słabe zapuściła korzenie we wsi polskiej, że nigdy dla ludowców groźną partią nie była — mandaty zdobyła przeważnie w miastach, rzadko we wsiach. Gdy w r. 1922 przy wyborach do Sejmu endecy wzmogli w okręgu tarnowskim niesłychanie silną agitację, a kandydat ich adwokat Kowalski „cudów waleczności" dokonywał, żeby mandat uzyskać niektórzy słabi ludowcy obawiali się ich zwycięstwa. Tymczasem ich kandydat ośmieszył się małą ilością rzucanych na niego głosów tak gruntownie, że uciekł jak niepyszny z Tarnowa. Wszystkie 7 mandatów zdobyli ludowcy.

Endecja była mafią bez skrupułów i bardzo niebezpieczną, ale na wieś nie mieli endecy poco przychodzić, bo ich chłopi nie słuchali. Nie wiem dlaczego ob. Rybacka taką wielką wszechmoc im przypisuje? Nie chciałbym być tutaj adwokatem „Piasta". Wiem, że to stronnictwo miało okresy wzlotów i upadków, że zrobiło dużo dla ludu, a wiele zrobić zaniedbało. Ale jednocześnie nie chciałbym twierdzić, że byli to ludzie w tym okresie, o którym wspomina ob. Rybacka — nieuczciwi. Troska o lud i poprawę jego doli była naczelnym programem ich działalności. Ob. Rybacka cytuje wyjątek z 2 nr „Piasta" 1913 — gdzie znajdują się niepochlebne słowa o socjalistach i postępowcach.

Otóż każdy, kto zna choć pobieżnie stosunki w redakcjach pism politycznych, ten wie, że co innego jest pewna linia wytyczna i program danego stronnictwa, a co innego wypowiedź takiego czy innego redaktora. Wypowiedzi wodzów stronnictw i artykuły w organie naczelnym powinny się pokrywać, ale częstokroć się kłócą ze sobą. W tym czasie redaktorem „Piasta" był nominalnie Jakub Bojko, faktycznie redagował go w mieszkaniu posła i późniejszego ministra dra Franicszka Bardla przy Małym Rynku w Krakowie dr. Jan Gagatek, któremu później za rozmaite nadużycia Sądy odebrały doktorat. Bojko ani Witos podobnych artykułów nigdy nie pisali.

Jeżeli chodzi o stosunek do innych, zwłaszcza demokratycznych stronnictw, to był on zawsze jak najlepszy — walki ideologiczne w prasie i na wiecach trwały nieraz z wielką zaciekłością, ale przeciwnicy szanowali się nawzajem i długie godziny nieraz ze sobą konferowali.

Teraz co do Średniawskiego. Nie czytałem „Nowych Dróg" nr 1, więc, nie wiem, w jak ujemnym świetle go tam przedstawiono. Jeżeli jednak napisano o nim źle, to mu zrobiono może krzywdę. Średniawski należał do typu chłopów bardzo inteligentnych, mądrych, ale zarazem konserwatywnych. Był człowiekiem nader uczciwym, pracowitym i uczonym, ale trochę i upartym nudziarzem. Zainteresowania jego były zawsze jednostronne. Był niezłym ekonomistą, ale słabym politykiem. Do dzisiejszej rzeczywistości z trudem tylko mógłby się przystosować, ale wrogiem nowego ustroju nigdy by nie był. W swoim okręgu znanym bywał z niezwykłej pracowitości, usłużności, bo nie było dobrej sprawy, szkoły, fabryki czy pożytecznego Towarzystwa, do których rozwoju by się nie przyczynił. Cóż więcej od niego chłopa — ożenionego ze szlachcianką można było żądać?

P. S. L. „Piast" było w swoich początkach i długo potem jeszcze nie tym „co lud tumani i z niego drwi", jak zaznacza Rybacka, ale stronnictwem demokratycznym, szczerze ludowym i postępowym. Tysiące pracowników i działaczy ludowych, co poszli w jego służbę szerzyć jego idee i oświatę, podnosić lud wysoko, zalicza te dnie — pracy i walki o dobro chłopów do najpiękniejszych w ich życiu. Pracowali z oddaniem, zapałem i poświęceniem, a jeżeli nie zawsze okazały się pełne owoce ich pracy, lub jeżeli przywódcy, szli gdzie indziej niż żądały masy, nie mogą one za to w żadnym stopniu ponosić odpowiedzialności.

Nie żadna „gęsta zasłona", ale otwarte, szczere przedstawienie wypadków i zdarzeń zaszłych w ruchu ludowym i rozwoju stronnictw ludowych — powinno być naczelnym przykazaniem tych, co chcą pisać jego kronikę.

Maciej Czuła

*) I. Daszyński. Pamiętniki. Tom I str. 125.

*) Ignacy Daszyński — Pamiętniki 2 t str. 132—3.

**) St. Szczepański: „Z dziejów ruchu ludowego w Polsce" str. 32 — 3.

*) Sprawa przełomu w galicyjskim ruchu ludowym z lat 1911 — 13, kiedy to powstaje „Piast" nie należy tylko do historii.

I we współczesnej praktyce politycznej tradycje tamtego okresu dochodzą jeszcze do głosu. Za przykład mogą służyć głosy Z. Lasockiego i M. Czuły. Dowodzą one konieczności podjęcia gruntownej rewizji historycznej. Wspomnienia, w których walory moralno-osobowe, występują jako jedyne kryteria oceny procesów polityczno-społecznych, nie mogą stanowić ani podsstawy do poznania materiałowego ruchu politycznego, ani tym mniej metody badawczej społecznych walk. W najbliższych numerach zabiorą głos w dyskusji R. Rybacka i J. Tepicht. **Redakcja.**



Ignacy Daszyński



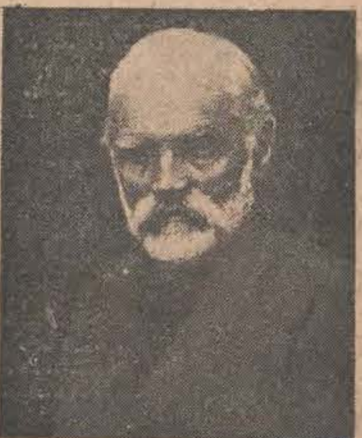
Wincenty Witos



Władysław Długosz



Jakub Bojko



Andrzej Średniawski

TURGIENIEW — DOS

Tadeusz Chróścielewski

Lud u zachodowca



Iwan Siergiejewicz Turgieniew

W 1860 roku w redakcji petersburskiego miesięcznika literacko-społecznego „Sowremiennik" — od roku 1847 bojowego organu radykalnych ludowców, najpoważniejszego i najśmielszego pisma opozycyjnego połowy XIX w. w Rosji — nastąpił rozłam. Z głośnym trzaśnięciem drzwiami ustąpił z niej I. S. Turgieniew. W ślad za nim odeszli: L. Tołstoj, Gonczarow i Grygorowicz. Fakt ten zaszedł na kilka miesięcy przed ogłoszeniem Manifestu z dnia 19 lutego, w którym Imperator Wszech-Rosji, podnosząc „zawsze miły sobie lud pańszczyźniany do najwyższej Łaski", kasował „po wsze czasy" pańszczyznę. Jednocześnie wydzielenie ze skarbu państwa olbrzymich sum przeznaczonych na długoterminowe pożyczki umożliwiało chłopom nabycie części ziemi, którą dotąd uprawiali, na własność. Było to formalne spełnienie lub też wyjście naprzeciw szeregowi postulatów, które od lat twardo i z całą gwałtownością, na jaką tylko pozwalała cenzura, stawiał „Sowremiennik". Zwycięstwa tego magna pars — jak powszechnie uważano — był Turgieniew. Poufny okólnik Ministra Oświaty z roku 1852 określał jego cykl nowelistyczny „Z notatek myśliwego" jako książkę „nad wyraz szkodliwą", rozprzestrzeniała bowiem „nieprzystojne sądy o szlachcie, mogące umniejszyć szacunek dla tegoż stanu w oczach czytelników stanów podlejszych". Wydanie nowel — przypadło na ostatnie lata panowania Mikołaja I — pociągnęło za sobą dymisję cenzora i zesłanie samego pisarza na kilkumiesięczny przymusowy pobyt w rodzinnym majątku. Sytuacja zmieniła się zasadniczo, gdy na stolcu Romanowów zasiadł „dobrotliwy" Aleksander II, któremu... współczesność po roku 1861 nadała zaszczytny przydomek: „Oswobodziciela". Jeden z powodów tej zmiany wyjaśnia po latach sam sędziwy już Turgieniew w rozmowie z Gautierem, Flaubertem i Goncourtami: „Turgieniew opowiadał o swym uwięzieniu, poczem zamilkł na chwilę i rzekł: Gdybym chciał się tym chlubić, to kazałbym, by na moim grobie wyryto, że napisałem książkę dla wyzwolenia niewolników. Cesarz Aleksander kazał mi powiedzieć, że lektura tej książki była jednym z powodów jego decyzji" (z pamiętników braci Goncourt — sobota 2. 3. 1871).

* * *

Przyczyny rozłamu redakcyjnego właściwie — o ile się można zorientować — były błahe. Turgieniew nie zgodził się z pozytywną na ogół recenzją Dobrolubowa o jego powieści „Nakanunie" („Przed świtem"). Recenzja zatytułowana: „Kiedyż wreszcie na stanie dzień?" wyciągała z powieści daleko idące w swym radykaliźmie wnioski, na które autor się nie pisał.

Rozłam sam jest wydarzeniem historycznym. Był to widoczny znak przecięcia się tradycyjnej już wtedy linii postępowego szlachecko-inteligenckiego społecznikowstwa z linią nową, z nierównie dalej idącym programem, jaki niosły rwące się do odegrania roli politycznej młode warstwy społeczne. Od czasu rozłamu zespół redakcyjny to już tylko „raznoczyńcy" — ludowcy z bardzo różnych środowisk społecznych: synowie diaków, mieszczan i chłopów, którzy zdołali się jakoś przedrzeć przez szkołę średnią — Czernyszewski, Dobrolubow, Uspieński, Reszetnikow, Pomiałowski i inni. Czas ustawić rozłam w kontekście procesów społecznych i politycznych, które wystąpiły na powierzchnię życia publicznego z powstaniem dekabrystów, a których bynajmniej nie zakończył Manifest Lutowy.

IDEOLOGIA PAŃSTWOWA

Reżim carski ujął ją w potrójny slogan: „Carat — prawosławie — tradycja". Sprowadzał się on do utrzymania za wszelką cenę w stanie dziewiczym feudalnego ustroju społeczno-gospodarczego i osiemnastowiecznego absolutyzmu, mimo, iż dynamiczne prądy polityczne i gospodarcze przekształcały w szybkim tempie życie Europy i świata. Skutki lekceważenia praw rozwoju dały na siebie czekać jedynie 30 lat, kiedy to młodszy brat zwycięzcy „Bonaparta i czterdziestu języków" przeciwstawiwszy potencjałowi gospodarczo-militarnemu państw kapitalistycznych Zachodu potencjał państwa Fryderyka Wielkiego zmuszony został do przyjęcia upokarzających warunków pokoju. Katastrofa odsłoniła ziemiaństwu tragiczne skutki idylli. W 1850 r. rolnictwo rosyjskie przeżyło ostry kryzys. Mimo dobrej koniunktury na zboże — wzrost cen płodów rolnych w Anglii — rynki zbytu zagarnęło tanie zboże pruskie, a przede wszystkim amerykańskie „produkowane zupełnie w innych warunkach przyrodniczych i inną ekstensywną techniką"). Były to dopiero początki ofensywy zboża amerykańskiego, która w latach następnych spędzała sen z oczu wszystkim europejskim producentom. Jakież możliwości konkurencyjne miała w epoce zaawansowanego ustroju kapitalistycznego wielka własność rosyjska, mająca do dyspozycji warsztaty rolne przestarzałe, oparte na nierównomiernie rozmieszczonym robotniku darmowym — pariasie, niezainteresowanym, więc źle pracującym, nieumiejętnie eksploatowanym. Komitety do Spraw Włościańskich powołane w 1857—8 roku do szczegółowego opracowania reformy wykazały, że koszty własne folwarku pańszczyźnianego przewyższają o 35proc. koszty majątku opartego na najemniku.

Przestarzała struktura pańszczyźniana paraliżowała rozwój przemysłu, którego wielkie możliwości znane były od czasów Łomonosowa, oraz handlu.

Po wojnie krymskiej — początkowo — zbiegały się paradoksalnie drogi konserwatywnego ziemiaństwa i postępowej opozycji. Rozeszły się, gdy wiadomym stał się kierunek reform: wzmocnienie pozycji gospodarczej szlachty i uzależnienie w tym samym, co dotąd, stopniu wyzwolonych i uwłaszczonych chłopów.

OPOZYCJA

Pierwsze pokolenie — to dekabryści — przedstawiciele wyższych słojów inteligencji i niepopularnej na dworze arystokracji. W kształtowaniu ich myśli społecznej opartej o wzorzec Karty Praw Człowieka i Obywatela i frazeologię „Marsylianki" dużą rolę odgrywał brak szerszych perspektyw na awans społeczny przy słabo rozbudowanym i obsadzanym według klucza dworskiego aparacie państwowym. O powinowactwie ideologicznym zadecydowało tradycyjne wychowanie francuskie i dwukrotne Aleksandra II balansowanie ku wczesnemu liberalizmowi. „Dekabryści" — pisze Gomolicki! — „myśleli na sposób ludzi Oświecenia: samotny bohater walczy z carskim absolutyzmem sam na sam, poza historią". Izolacja, niezainteresowanie swym programem żadnej grupy społecznej zadecydowało o przegranej romantycznego wystąpienia zbrojnego.

Drugie pokolenie opozycjonistów — lata 1830 — 45 — to młodzież uniwersytecka — często zdeklasowani ziemianie siedzący za pulpitami z tym samym co ich poprzednicy przeświadczeniem, że nie ma dla nich miejsca w życiu. Wytwarza się typ ludzi przegranych, czujących swą zbędność — „lisznich". Uciekają oni od życia w narkozę oderwanych spekulacji filozoficznych — Schelling, Hegel. Nie czując sił do walki, zadowalają się marzeniem o nieokreślonej bliżej sprawiedliwości społecznej. Tak ich zastaje utopijny socjalizm Saint - Simona. Zjawisko kół studenckich: na początku 30-tych lat kółko Stankiewicza, przy końcu okresu — „pietraszewcy". Z kół wyłaniają się z czasem dwie grupy, z których jedna również się rozdziela: 1) Zachodowcy - liberałowie, głoszący, że Rosja musi stać się państwem liberalnym o ustroju jakiegoś idealnego państwa zachodniego, w którym nie istniałaby gra sił społecznych. Przeciwieństw między zachodem a wschodem szukali oni w samym caracie i w interpretacji pojęcia „wolność"; nie dostrzegali odrębności struktury społecznej — warstwy panujące: tu ziemiaństwo, tam burżuazja. 2) Słowianofile — pragnący odcięcia się od zachodu i nawrócenia do mitycznego ludowego ustroju wiecowego.

Część zachodowców skłoniła się w 40-tych latach do utopijnego socjalizmu — Bieliński, Hercen, Niekrasow. Cechuje ich radykalizm, żądają niezbyt jasno określonej Rosji Ludowej. Przed ludem widzą „historyczne zadania przyszłości" (Bieliński). Z tej grupy sądzone było jedynie Hercenowi zetknąć się w ostatnich latach życia z socjalizmem naukowym. Lud znają słabo. Po wyjeździe Hercena i śmierci Bielińskiego ludowcy grupują się przy „Sowremienniku", przy czym inicjatywę obejmuje już trzecie, a zarazem pierwsze pokolenie społeczników, na których nie ciąży szlacheckość. Legitymują się też oni większą, lecz bynajmniej niedostateczną znajomością ludu.

Cechą łączącą poszczególne grupy był przerosts marzenia nad działaniem. Umieli jednak spopularyzować swoje poglądy, przy czym zjednali sobie także część inteligencji ziemiańskiej. Tu gdzieś leżało źródło zachodowstwa oscylującego ku socjalizmowi ludowemu — Turgieniewa.

„Z notatnika myśliwego" pokazuje niemal wszystkie kategorie chłopów pańszczyźnianych od zwykłego parobka do chłopa półwykształconego, półwolnego i przez to psychicznie wykolejonego. Rozmaitości typów chłopskich towarzyszy galeria postaci pomieszczyków, od ograniczonych sadystów do liberałów. Szlachta przedstawiona na ogół w ciemnych barwach, w wielu nowelach na pierwszy plan wysunięta sprawa skrzywdzenia godności ludzkiej w chłopie. Problem ten w literaturze rosyjskiej miał już za sobą bogatą tradycję. Zaczęła się ona od „Biednej Lizy" sentymentalisty Karamzina, której treścią jest niedola dziewczęcia wiejskiego uwiedzionego przez płochego panicza, następuje „Dziwny człowiek" i „Saszka" Lermontowa, powieść Hercena „Soroka - Worowka" i młodzieńczy poemat Turgieniewa „Parasza". Na czytelnika wychowanego od dwóch pokoleń na takiej powieści to uczuciowe podejście do sprawy pańszczyzny najbardziej oddziaływało. Więc zesłanie na czarną robotę na wieś biednej Ariny, ongiś najbardziej lubianej pokojówki we dworze za to tylko, że ośmieliła się upadłszy do nóg poprosić panią o pozwolenie wyjścia za mąż, gdy dziedziczka od dawna mówiła, że nie pozwala na związki małżeńskie czeladzi dworskiej. Więc pomieszczyk Stogunow przysłuchujący się z satysfakcją pluskowi bata padającego na plecy Wasi — bufeciarza, którego nieludzko ukarał za dość błahe wykroczenie.

Chłopi ukazywani przez Turgieniewa — (realista Turgieniew wyjątkowo tylko posługuje się upraszczającą idealizacją jak np. Jaśko - Turek w „Piewcach" — prototyp „Janka Muzykanta") — posiadają szereg cech wspólnych: wysokie poczucie moralności i przyzwoitości, sprawiedliwość, przywiązanie (Jermołaj), wierność, pogodzenie się z losem. Nie pokazuje Turgieniew chłopa mściwego, zazdrosnego, marzącego o odwecie, nie wywołuje ani razu widma Puhaczowa. Zamierza pisać wprawdzie o samosądzie chłopskim nad zezwierzęciałym dziedzicem — zwierza się z tego w liście do Annenkowa. — Jednakże zamiaru nie realizuje — jak przypuszcza radziecki historyk literatury Zjerczaninow ze względów cenzuralnych. Moim zdaniem przyczyny należałoby szukać w samej ideologii Turgieniewa. Nowele jego rozbrajają nieufność ziemiańską w stosunku do chłopa. Między wierszami ziemianin mógł wyczytać, jakie skutki dla warsztatu pracy pociąga za sobą nieprzemyślana rabunkowa gospodarka człowiekiem — zapuszczony las folwarku Riabowo (nowela „Burmistrz") — obraz wynędzniałych chłopów osuwających się na ziemię, gdy się na nich nie patrzy.

Postępowe „Notatki myśliwego" okazały się — jak widać — idealną broszurą propagandową, z jednej strony rozpraszającą lęk szlachty przed rozluźnieniem stosunków służbowych, z drugiej strony wykazującą ekonomiczną niezbędność reform. Jasne teraz, dlaczego drugie wydanie utworu (rok 1856), który był za Mikołaja I na indeksie, spotkało się z entuzjastycznym przyjęciem i ze strony światlejszej części ziemiaństwa i ze strony ludowców. Ta społecznie wsteczna funkcja pojmowanego jako ostry protest społeczny utworu nie była zapewne jasna ani dla redakcji „Sowremiennika" ani dla samego autora. Liberał - zachodowiec czuł się ludowcem, nie mógł jednak nie myśleć kategoriami szlacheckimi. Toteż gdy drogi „postępu" szlacheckiego i ludowego po okresie mgły ideologicznej się rozeszły, gdy wódz ludowców — Czernyszewski ryknął w powieści: „Prolog": „Ziemia tylko dla chłopa! Nie ma wykupu. Nawiewaj szlachta pókiś cała!" autor „Ojców i dzieci" pozostał sam. Pozycja jego w kołach ludowych nie dała się utrzymać. To stanowi o jego tragedii jako pisarza i człowieka. „Szlacheckie gniazdo" wydrukowane w roku 1859 w „Sowremienniku" — to omyłka pisma. Redakcję zwiodło kilka ujemnych postaci pomieszczyków oraz wykazanie braku sił życiowych całej warstwy — jest ono wyraźnym uzupełnieniem ideologicznym nowel: apoteoza cichego dworku, troska o uzdrowienie moralne warstwy szlacheckiej, w epilogu wezwanie do energicznego zajęcia się majątkami i modernizacją ich, co byłoby skutecznym lekarstwem na mizantropię i schorzenia psychiczne. Wyjeżdżając za granicę wraca Turgieniew na pozycje nieokreślonego zachodowca. Program, jaki stawia nowemu pokoleniu w powieści „Dym", to jedynie nieokreślona „służba cywilizacji". — kulturalne podciąganie Rosji wzwyż — postulat niezbyt jasnej europejskości. W stosunku do aktualnych ruchów społecznych w Rosji Turgieniew zajmuje postawę li tylko zatroskanego obserwatora. W żadnej z następnych, doskonałych artystycznie i bogatych w materiał socjologiczny powieści — „Ojcowie i dzieci", „Dym" i „Nów" nie mówi nic o kapitaliźmie, nie widzi mieszczaństwa i rosnącej w 70 latach klasy robotniczej, widzi jedynie w dalszym ciągu ziemiaństwo i lud. Zresztą nie on jeden. Był to błąd całego ruchu ludowego lat 60 i 70, dlatego też po rozwianiu się marzeń o rewolucji ludowej w większym stylu działacze ludowi wykolejają się na ludomaństwie („chożdienie w narod" grupy „Ziemia i Wola"). Wzrastający rozdźwięk między starym pisarzem a nowym pokoleniem przyprawia go o histerię twórczą. Kilkakrotnie postanawiał złamać pióro, które znowu wkładał mu do ręki nałóg obserwatora. To zachowanie się Turgieniewa wykpiwa w „Biesach" ideolog drugiego pokolenia Teodor Dostojewski, widząc w tragedii duchowej społecznika lat 50 jedynie komedianctwo.

Maria Janion

Mieszczański humanitaryzm



Teodor Dostojewski

W świadomości ogółu twórczość Dostojewskiego jest jedną z niewzruszonych pozycji dorobku klasycznej literatury świata. Jego ranga wybitnego artysty zdaje się nie budzić niczyich zastrzeżeń i nie prowokować do żadnych rewizjonistycznych zapędów. Natomiast stanowisko Dostojewskiego, jako ideologa jest dotychczas dla krytyki literackiej problemem spornym. Ludzie skrajnie przeciwnych obozów cytują jego dzieła dla poparcia swych tez. Krytyka z całą swobodą mianuje go naprzemian wieszczem, zapowiadającym rewolucję proletariacką lub głową reakcji europejskiej. Już za życia Dostojewskiego krążyły o nim sprzeczne opinie. Młodzieńcze jego utwory spotkały się z entuzjastyczną oceną wodza ówczesnej krytyki radykalnej, Bielińskiego. To ugruntowało literacką sławę Dostojewskiego, jak również jego pozycję w obozie postępu. Za postępowca uważali go także przedstawiciele nieco młodszej krytyki: — Dobrolubow i Pisariew. Dla następnego pokolenia radykałów, ludzi lat 80-tych, jak Michajłowski i Tkaczew, Dostojewski jest już reakcjonistą, jednym z najniebezpieczniejszych wrogów rewolucji. Współczesna krytyka sowiecka również nie zdobyła się na jednolite stanowisko wobec Dostojewskiego. Zjawisko to da się wytłumaczyć tym, że twórczość Dostojewskiego z okresu poprzedzającego pobyt w katordze i twórczość jego od lat 60-tych, reprezentują ideologie krańcowo różne. Krytycy, badający dokładniej jedno z Janusowych oblicz twórczości Dostojewskiego skłonni są dopatrywać się analogicznych rysów w całokształcie jego spuścizny literackiej. Tak czyni niechętny Dostojewskiemu, bo zrażony reakcyjnością jego drugiego okresu, Jermiłow lub Dolinin, entuzjasta „integralnej rewolucyjności" Dostojewskiego. Ostrożniejszym zwolennikiem tej tezy jest Kirpotin, autor sumiennej i wnikliwej książki o młodym Dostojewskim.

Badania krytyki sowieckiej doprowadziły do słusznej interpretacji pozycji socjalnej Dostojewskiego oraz do ustalenia trafnych jej związków z całokształtem sytuacji politycznej i ekonomicznej, ówczesnej Rosji. Zastanawiającym jest jednak fakt, że nie doprowadzono pracy do końca, nie wyciągnięto narzucających się wniosków z przygotowanego materiału, nie stworzono jednolitego i konsekwentnego obrazu pisarza. Czym wytłumaczyć ową wyraźną sprzeczność w ocenach współczesnych świadków jego działalności literackiej i nieustalone dotąd stanowisko krytyki radzieckiej?

Uproszczony schemat interpretacji psychologicznej podsuwa tu znany motyw: zmiana poglądów — przełom duchowy, który dokonał się w psychice Dostojewskiego pod wpływem przeżyć w katordze. Tak piszą krytycy — idealiści (Szestow, Rozanow), znajdując poparcie swych wywodów w „Dzienniku" Dostojewskiego, wspominającego o przekształceniu się jego poglądów. Ta duchologia nie wytrzymuje krytyki naukowej — właściwe światło rzucić może na zagadnienie jedynie odwołanie się do sfery faktów konkretnych, do rzeczywistości społecznej, kształtującej twórczość pisarza.

Młody Dostojewski był rewolucjonistą. Rewolucjonizm ten to druga poprawiona nieco edycja szlacheckiego ruchu dekabrystów. Dostojewski należał do kółka pietraszewców, rewolucyjnego odłamu rosyjskich zachodowców, których ideologia kształtowała się w dużej mierze pod wpływem Bielińskiego. Zasadniczym problemem koła było oczywiście dążenie do zniesienia pańszczyzny — ta wiel-

TOJEWSKI — GORKIJ

ka siła napędowa rosyjskiej historii pierwszej połowy XIX wieku. Dostojewski był jednym z organizatorów skrajnego skrzydła pietraszewców tzw. durowców. Było to ugrupowanie nawskroś rewolucyjne o ideologii wywodzącej się z socjalizmu utopijnego. Bieliński, jako mistrzynię tego kierunku, „gwiazdę zbawienia, Joannę d'Arc XIX wieku", wskazywał pietraszewcom... George Sand. Dostojewski był jednym z najradykalniejszych durowców: realizując idee utopijnego socjalizmu stworzył pierwszą w Rosji komunistyczną wspólnotę mieszkaniową.

Pietraszewcy, a szczególnie durowcy w odróżnieniu od szlacheckich dekabrystów rekrutowali się przeważnie ze sfer mieszczańskich. Rosyjskie mieszczaństwo nie pokrywa się w pełni z burżuazją zachodnio-europejską. Do mieszczaństwa nie zalicza się zazwyczaj w Rosji bogatej warstwy kupieckiej o silnie ugruntowanej pozycji społecznej. Mieszczanie to ubodzy rzemieślnicy, drobni urzędnicy, sponiewierana inteligencja — wszyscy „skrzywdzeni i poniżeni".

Były to kręgi socjalne bliskie Dostojewskiemu. Ojciec jego był synem popa, z zawodu lekarzem. Szlachectwo Dostojewskich było niezbyt pewne i dość świeżej daty. Rodzina Dostojewskich próbowała wszelkich środków by wydźwignąć się z dna społecznego. Próba wejścia do sfery ziemiańskiej poprzez kupno majątku skończyła się tragicznie: chłopi doprowadzeni do rozpaczy wyzyskiem stosowanym przez nuworyszów zamordowali ojca pisarza. Druga droga do awansu społecznego — nauka — zawiodła także: — ex inżynier, młody obiecujący pisarz nie zdobył arystokratycznych salonów, pozostał przez całe życie „inteligentnym proletariuszem". Taka sytuacja społeczna wyznaczyła solidarność Dostojewskiego ze sferą mieszczańskich raznoczyńców, którzy swego głównego wroga dostrzegli w rozkładającym się feudaliźmie, dość silnym jednakże, by spowodować ich socjalne upośledzenie. Grupa ta była produktem narastającego kapitalizmu rosyjskiego.

Od roku 1826, pamiętnego szubienicami dekabrystów, do roku 1846 liczba fabryk i robotników w Rosji wzrosła więcej niż w dwójnasób, mimo utrudnień stawianych rozwojowi gospodarki kapitalistycznej przez gnijący już, lecz jeszcze dość silny ustrój feudalny. W 30 latach głośne były wywody Zabłockiego - Diesiatowskiego, że praca pańszczyźniana jest mniej wydajna, niż wolnonajemna, że istnienie pańszczyzny jest powodem gospodarczego zacofania Rosji.

W walce z przeżytkami ustroju feudalnego **jednoczyły się więc kapitalizm i utopijny socjalizm radykalnej inteligencji.** Było to podówczas niewątpliwie działanie leżące na linii postępu.

Dostojewski określił swą twórczość jako nowe, niepomieszczie słowo. Ta antyszlachecka atmosfera jego pierwszych utworów łącznie z humanitaryzmem „Biednych ludzi" i „Skrzywdzonych i poniżonych" („Okazuje się, że najbardziej zahukany, ostatni człowiek jest także człowiekiem i nazywa się twoim bratem") — to właśnie histeryczna walka o honor upośledzonego socjalnie i towarzysko mieszczanina. Książe Wałkowski — „czarny charakter", rujnujący szczęście „skrzywdzonych i poniżonych" stojących niżej socjalnie to prototyp galarii „dręczycieli" tak częstych w twórczości Dostojewskiego.

Gdy w r. 1860 Dostojewski powrócił do Petersburga po 9-letnim pobycie w katordze na skutek odkrycia spisku pietraszewców — sytuacja w Rosji uległa zasadniczej zmianie. Kapitalizm poczynił znaczne postępy, stał się motorem komunikacji i wzmożonego handlu wewnetrznego, w powietrzu wisiało uwłaszczenie chłopów (luty 1861 r.). Ogromny przewrót w życiu rosyjskim spowodowany reformą i gwałtowny rozwój kapitalizmu zmienił układ sił społecznych w Rosji. W latach 1863 — 85, ludność miast powiększyła się półtora raza. Sytuacja mieszczaństwa rosyjskiego pogorszyła się niesłychanie. Bogacą się sfery kupiecko-finansowe. Majątki ziemskie przechodzą na własność bogatej burżuazji — Moskwa ze szlacheckiej staje się kupiecką — w rękach nowej arystokracji pieniądza znajduje się wkrótce większość pałaców miasta. Natomiast drobnomieszczaństwo i inteligencja doprowadzone przez ustrój kapitalistyczny do skrajnej nędzy dostrzegają śmiertelne niebezpieczeństwo grożące ze strony niedawnego sojusznika w walce z feudalizmem.

W roku 1862 Dostojewski wyjeżdża za granicę, gdzie spotyka się ze społeczeństwem kapitalistycznym w o wiele bardziej zaawansowanej fazie rozwoju. To, co ujrzał na zachodzie napełnia go przerażeniem: Babilon — spełnianie się apokaliptycznych proroctw. We wspomnieniach z przemysłowej wystawy londyńskiej z r. 1863 („Zimowe uwagi o letnich wrażeniach") zarysowało się przeczucie istnienia jakiejś przerażającej „siły", kierującej mechanizmem świata społecznego. W r. 1865 Dostojewski osobiście zetknął się z działaniem tej „złowrogiej siły". Długi zmuszają go do ucieczki z Rosji.

Jakież wyjście widzi Dostojewski dla Rosji zagrożonej „straszliwą siłą"?

Młodość utopijnego socjalisty nie nauczyła go wiary w siły proletariatu. Pietraszewcy byli pozbawieni szerszej bazy społecznej, wierzyli w wartość ofiary jednostki wyjątkowej za lud — „dla was bez was". Rewolucyjność mieszczaństwa to była specyficzna forma awansu społecznego, arystokratyzmu w stosunku do dna społecznego, od którego chciano się odciąć mimo humanitaryzmu i współczucia. Rewolucja proletariacka, tak jak ją widział Dostojewski w szkicu do zamierzonego dzieła o Komunie Paryskiej groziła przerażonemu mieszczaństwu zniszczeniem kultury, panowaniem „nadchodzącego chama" (tak wyraził się o Gorkim Mereżkowski jeden z niewątpliwych kontynuatorów linii Dostojewskiego). Ucieczkę i ratunek udręczone mieszczaństwo widzi w unicestwieniu wszystkich zdobyczy zwycięskiego kapitalizmu. Dostojewski „zachodowiec" i postępowiec staje się fanatycznym zwolennikiem rosyjskiej „poczwy". Głosi nawrót do **patriarchalnej** Rosji, **ludowej, prawosławnej cerkwi,** wielbiącej cara — batiuszkę.

Rozczarowanie do metod „lekarzy-socjalistów" każe przyjąć inną interpretację tragicznej doli jednostki — zło leży **w duszy ludzkiej,** w jej **mrocznych głębiach,** w zagadce ludzkich zbrodni i bożych kar.

Słynne „proklatyje woprosy" („przeklęte problemy") literatury rosyjskiej: istnienie Boga, zagadnienie winy i pokuty, zbrodniczych skłonności natury ludzkiej — zastępuje analizę konkretnych sytuacji społecznych.

Bohaterowie Dostojewskiego, to ludzie rozdarci wewnętrznie, opętani walką z niepojętą zagadką swej duszy; obrazują oni rozdarcie zagnanej w ślepą uliczkę klasy, która zatraciła zmysł rzeczywistości i pogrążyła się w mistycznej kontemplacji własnego lęku. W „Zbrodni i karze" Świdrygajłow dręczy Raskolnikowa makabryczną wizją zaświata: „Wszystkim nam wieczność przedstawia się jako idea, której niepodobna zrozumieć — coś ogromnego, ogromnego! Ale czemu właśnie coś ogromnego? Aż naraz... zamiast tego wszystkiego wyobraźcie sobie, że tam będzie tylko jedna izdebka — ot tak, w rodzaju wiejskiej łaźni, okopcona, a we wszystkich kątach będą pająki — ot, i cała wieczność".

Rewolucyjna przeszłość zostaje potępiona „Dniewnik pisatiela" jest dokumentem pogardy dla burzliwej młodości. Swą znajomość atmosfery i techniki konspiracyjnej wyzyskuje Dostojewski do napisania „Biesów" mających na celu skompromitowanie ruchu rewolucyjnego.

Ostatnie słowa, wypowiedziane przez Dostojewskiego-ideologa to zakończenie jego mowy na uroczystościach ku czci Puszkina w w roku 1880. Rewolucyjnej inteligencji rosyjskiej zostawił, jako testament hasło prawomyślności religijnej i politycznej: „Ukórz się, hardy człowieku!".

Oto droga ideologiczna **humanitarnego mieszczanina.**

Waldemar Kiwilszo

Od liberalizmu do socjalizmu

Najbardziej wziętym i najlepiej znanym wśród mas pisarzem rosyjskim ostatniej doby jest bezwzględnie Maksym Gorkij. Przyczyn tej wielkiej popularności pisarza należy szukać przede wszystkim w społecznym charakterze jego twórczości. Kształtowała się ona na tych samych drogach, na których rozwijały się w Rosji ogólne nastroje i dążenia mas niezadowolonych z panującego, wrogiego im porządku. Z racji też ideologicznej wartości utworów Gorkiego — mówi się o nim powszechnie jako o pisarzu rewolucjoniście, pisarzu proletariackim.

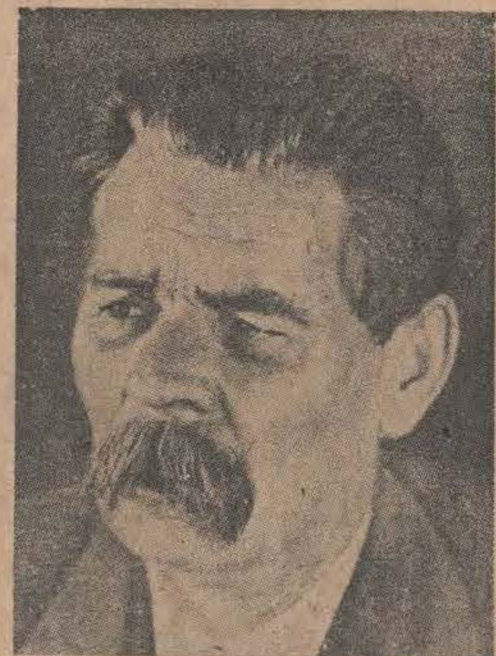
Istnieje tendencja u niektórych krytyków do ukazywania twórczości Gorkiego w kształcie ideologicznego monolitu. W rzeczywistości sprawa jest bardziej skomplikowana. Na drodze do postawy pisarza rewolucjonisty Gorkij przeszedł okresy wahań i i zwątpień, które znajdowały w jego twórczości swoją ideologiczno-literacką transpozycję.

Twórczość literacka Gorkiego była wyrazem świadomości społeczno-kulturalnej niższych warstw drobnomieszczaństwa, (określanego jako całość terminem „raznoczyńcy"), które były socjalnym środowiskiem pisarza — w dobie zwycięskiego postępu kapitalizmu i jednoczesnego zarysowywania się już podstaw jego struktury. Ewolucja Gorkiego jako ideologa i pisarza może być traktowana w ogólnych ramach jako egzemplifikacja ewolucji tej warstwy społecznej w okresie wyłamywania się jej z zapóźnionych, skostniałych ram społecznych i wchodzenia w orbitę życia proletariatu.

Jak wiadomo lata 90-te w Rosji były czasem intensywnego rozwoju kapitalizmu. W okresie lat 1890 — 1899 kapitalizm przemysłowy zwyciężając drobne rzemiosło, tradycyjną technikę produkcji, zapóźnione społeczne stosunki posunął przemysł rosyjski w ciągu jednego 10-lecia daleko naprzód. O tempie tego rozwoju najlepiej mogą świadczyć dane statystyczne co do szybkiego wzrostu liczby zatrudnionych w przemyśle robotników. Jeżeli w ciągu 25 lat, od 1865 — 1890 r., ilość robotników zatrudnionych w większych tylko fabrykach i przedsiębiorstwach oraz na kolei wzrosła z 706 tys. do 1433 tys., to jest więcej niż dwukrotnie, to w końcu lat 90-tych liczba ta wzrosła do 2792 tys., czyli w tak krótkim okresie prawie w dwójnasób w stosunku do poprzednich 25 lat.

Proces ten wpłynął na drobnomieszczaństwo w kierunku jego zaostrzonej dyferencjacji społecznej. Nieliczni awansują do środowiska wielkiej burżuazji, masy deklarują się w szeregi proletariatu.

Jak w innych kapitalistycznych krajach, tak i w przedrewolucyjnej Rosji lata przemysłowego rozwoju przeplatały się z latami ostrych kryzysów, zastojów przemysłowych. Kryzys w końcowych latach XIX w. również działał w tym samym kierunku dyferencjacji i rewolucjonizowania niższych warstw drobnomieszczaństwa. Następstwem wspomnianego procesu ekonomicznego był



Maksim Gorkij

wzrost nastrojów protestu przeciwko panującemu układowi stosunków społeczno-ekonomicznych i dążności do znalezienia zeń wyjścia. Dążności te były platformą sprzymierzenia się pewnych kręgów tej warstwy społecznej z proletariatem. Na te tory kierowała je bezwzględnie logika ekonomicznego rozwoju kapitalizmu. Proces ten znalazł swoje odbicie w twórczości Maksyma Gorkiego.

W 1892 r. w Tyflisie w miejscowej prasie pojawia się pierwsze opowiadanie Gorkiego „Makar Czudra". Autor pracował wówczas w Tyfliskich warsztatach kolejowych. Jeszcze na kilka lat przed tym wchodzi Gorkij w kontakty z rewolucjonistami — narodnikami. W początkach swej działalności narodowolcy rekrutujący się przeważnie z rewolucyjnej młodzieży inteligenckiej wchodzą w lud z zamiarem przygotowania i poderwania go do walki z carskim absolutyzmem. Ale już w latach żywej działalności socjaldemokratycznej, po rozgromie partii „Narodnej Woli" poczęli głosić hasła „nie sprzeciwiania się złu" i zaprzestali walki z caratem W latach 80-tych i 90-tych narodnicy stali się wyrazicielami interesów kułactwa.

W 1901 roku podejrzany o współpracę z rewolucjonistami Gorkij zostaje aresztowany w Niżnim Nowogrodzie. Skłaniając się pierwotnie ku liberalnej frakcji ruchu „wyzwoleńczego", Gorkij coraz bardziej rozczarowuje się do liberalnych „buntowników" i około 1905 roku wyraźnie zbliża się do rewolucyjnego proletariatu i jego awangardy — bolszewików. Swemu nowemu światopoglądowi dał trwały wyraz w szkicu pt. „Człowiek", napisanym przed rewolucją — w 1904 roku. Twórczość Gorkiego z tego okresu wywołała liczne napaści ze strony reakcjonistów wszelkich odmian. G. Czułkow zestawiając „Człowieka" z „Pieśnią o zwiastunie burzy" zakończył swoje rozstrząsania taką tyradą: „Niestety! — to już nie ten miłujący wolność człowiek, brat rodzony słońca i morza, lecz jakaś dziwaczna kukła w „marksistowskiej bluzie." Inny krytyk Steczkin w „Gońcu rosyjskim" (1904 r. Nr 6) nazwał „Człowieka" — „rewolucyjnym wezwaniem, przestępczą proklamacją", a Gorkiego — „głosicielem buntu, lumpem — proletariuszem proklamującym rewolucję". Ta ocena daje najlepsze świadectwo rewolucyjnej ideologii Gorkiego w owym czasie, ideologii buntu przeciw kapitalistycznej rzeczywistości w imię jej przebudowy, na drodze klasowej walki proletariatu sprzymierzonego z włościaństwem. W tym wyrażała się całkowicie solidarność pisarza z ideologią socjaldemokratycznej partii, kierowanej przez Lenina.

Dalsze rozwinięcie osiągnęły rewolucyjne poglądy pisarza w opowiadaniu „Towarzysz", w sztuce „Wrogowie", a przede wszystkim w powieści „Matka". Jest ona bez wątpienia najbardziej reprezentatywnym ideologicznie utworem Gorkiego, który w tym czasie znajdował się już w szeregach socjaldemokracji i współpracował z Leninem. Paweł Własow, bolszewik, bohater tej powieści, w mowie sądowej występuje jako sędzia starego świata i jego porządku i jako zapowiadający nadejście nowego życia, w którym ludzie będą sobie braćmi. Jest to nowa redakcja zasadniczych założeń „Człowieka."

Wraz z przyjęciem ideologii rewolucyjnej zwraca się Gorkij ostro przeciw dekadentyzmowi w literaturze, przeciw jej marazmowi i oderwaniu od życia. W twórczości wielu pisarzy (Andrejew, Arcybaszew, Mirtow, Sołogub) znalazł wyraz pęd do ucieczki w abstrakcję, odwrócenia się od rzeczywistości — w imię pozornie nierozwiązalnej tragedii kryzysu społeczno-ekonomicznego. Przystanią staje się rozpatrywanie „wieczystych problemów życia ludzkiego", śmierci, miłości itp. Świat występuje u nich jako coś niepojętego dla ludzkiej świadomości, koszmarnego w swej istocie. Człowiek jest zabłąkanym w nim okruchem. Artystyczną metodą tej literatury była dążność do przedstawienia faktów i zjawisk wstecznego porządku społecznego jako objawów wiecznych niezmiennych praw życia ludzkiego i jednocześnie dyskredytowanie wszelkich idei przeciwstawiających się temu i zmierzających do przebudowy rzeczywistości. Ucieczka w beznadziejność była reakcją tych pisarzy na rzeczywistość, przerastającą ich zdolności poznawcze.

Walka z dekadentyzmem w literaturze jako formą ideologicznej reakcji społecznej, z obskurantyzmem zajęła nie mało miejsca w artykułach Gorkiego w latach 1908 — 1909: „Zniszczenie osobowości", „O cyniźmie" i inne. Lecz te i inne artykuły z tego okresu niechybnie byłyby bardziej skuteczne w walce z „upadocznictwem", gdyby nie było w nich oddźwięków idealistycznej, antymarksistowskiej filozofii Bogdanowa.

W okresie reakcji Stołypina (1907—1912), kiedy przyszła moda na „krytykę" marksizmu, część partyjnej inteligencji, uważająca się za marksistów, w istocie zaś nigdy nie stojąca mocno na pozycji marksizmu, poczęła głosić „rewizjonizm". W ich liczbie byli tacy pisarze jak Bogdanow, Bazarow, Łunaczarski. „My — mówili oni — w zasadzie jesteśmy marksistami, lecz chcielibyśmy „ulepszyć" marksizm, wyzwolić go od niektórych zasadniczych błędnych twierdzeń". Część odeszłych od marksizmu inteligentów doszła do tego, że poczęła głosić konieczność stworzenia nowej religii (tzw. „bogoiskatieli" i „bogostroiteli").

Zagubienie i zamęt w szeregach inteligencji rewolucyjnej udzieliły się i Gorkiemu. Gorkij waha się między Leninem a grupą „postępowców" Bogdanowa. Grzęźnie on wraz z Łunaczarskim i Bazarowem w „bogostroitelstwie", czego wyrazem jest jego ówczesna powieść „Spowiedź".

Upadek ruchu robotniczego w latach reakcji, szczególnie zaś w 1909 r. i rozkład organizacyjny w szeregach socjal-demokracji doprowadziły Gorkiego do przesadnej oceny niebezpieczeństwa grożącego ruchowi ze strony drobno-burżuazyjnych żywiołów, co po części uwidoczniło się i w szeregu artykułów Gorkiego i w utworach artystycznych, np. w „Miasteczku Okurowie". Niedocenianie sił klasy robotniczej przywiodło Gorkiego później w 1917 — 1918 roku do nowego rozejścia się z partią i Leninem.

Około roku 1912 podlego Gorkij wpływowi Lenina, współpracując z bolszewicką „Zwiezdą" i redagując literacki odcinek bolszewickiego organu „Proswieszczenie". Tak więc szybko staje Gorkij napowrót w szeregach rewolucyjnych. Po „bogostroitelskiej" „Spowiedzi" pisze „Lato" — powieść o wsi rosyjskiej rozbudzonej wypadkami 1905 roku, o wiejskich rewolucjonistach — sprzymierzeńcach proletariatu, którzy swoją solidarność zasadzają nie na idei: Bóg — naród, lecz na idei socjalnej, klasowej walki. Przeciwstawiając się rozpowszechnionemu „predatelstwu" Gorkij odpowiedział zdrajcom zdemaskowaniem ich („Życie niepotrzebnego człowieka", „Ostatni") i wyniesieniem bohaterstwa samo - ofiary, np. w znanym szkicu „Fiedor Diadin" mówi się o żołnierzu, który wypuścił na wolność rewolucjonistę, a sam poszedł za to na śmierć.

W „Bajkach rosyjskich" wystąpił Gorkij przeciw głoszonemu przez wrogie rewolucji elementy „niesprzeciwianiu się złu", przeciw apologii cierpiętnictwa (10-ta bajka). Z głosicielami passywizmu, z reakcyjną filozofią L. Tołstoja i Dostojewskiego prowadził walkę Gorkij na przestrzeni całego niemal życia twórczego: w publicystyce („Uwagi o mieszczaństwie" i inne) i w twórczości artystycznej. Oddając należną cześć artyzmowi Tołstoja i Dostojewskiego polemizował z nimi Gorkij w powieści „Troje", w sztuce „Na dnie", w „Miasteczku Okurowie", w „Żywocie Matwieja Korzemiakina", w „Dzieciństwie", w powieści „W ludziach" i w „Żywocie Klima Samgina". Ideologiczny spór z Dostojewskim prowadził Gorkij w „Żywocie niepotrzebnego człowieka" i w sztuce „Starzec", w której specjalnie ostro wystąpił przeciw apologetyce cierpienia.

W czasie pierwszej wojny światowej staje Gorkij na czele antyimperialistycznego pisma „Letopis". Podczas rewolucji październikowej znowu na krótki okres ulegnie wahaniom i rozterce. Po rewolucji staje się jednym z najczynniejszych organizatorów i budowniczych nowej socjalistycznej kultury.

Jasne widzenie ruchu rewolucyjnego, wiara w jego siły i słuszność celów, podsycanie ognia rewolucji swą pracą twórczą są tymi elementami, dla których możnaby nazwać Gorkiego pierwszym faktycznym twórcą sowieckiej literatury socjalistycznej. Ale droga od liberalizmu i humanitaryzmu mieszczańskiego do rewolucyjnego socjalizmu i socjalistycznego humanizmu, którą przebył pisarz i ideolog nie była łatwa i równa. To, że Gorkij potrafił ją przebyć może być dowodem jego osobistego hartu jak i mocy tej ideologii, która go wyprowadziła z labiryntu dusznego świata mieszczańskiego.

Jakub Litwin

W kręgu moralności „Ziemi Obiecanej"

Czytamy w „Sprawie Robotniczej" z lipca 1893 roku:

„Przed kilku laty jeszcze spokojnie tam (w Łodzi — przypisek mój) było jak w grobie. Robotnicy łódzcy ci najnieszczęśliwsi z nieszczęśliwych przybici nędzą, upadający w jarzmie 14—15 godzinnej pracy, w wyjątkowych tylko razach śmieli podnieść głowy.



Łódź, — Bielnik Kwapisza (1840)

Wybuchał wtedy strajk żywiołowy, albo też, kiedy przebierała się miara ludzkiej cierpliwości, wzburzony robotnik szukał zemsty w napaści na bezpośrednie narzędzie wyzyskiwacza — na majstra. Ale oto i do Łodzi dotarł ruch robotniczy i gromkie hasła socjaldemokracji zelektryzowały uśpionych. W 92 roku widzimy świetny rezultat tego rozbudzenia. Łódź wtedy nadaje ruchowi naszemu piętno nowe przez niebywałe masowe wystąpienie robotników w dzień 1 maja... Od tego czasu ruch nie ustaje. Żandarmeria codziennie znajduje gdzieś proklamacje, broszury, wiersze socjalistyczne, tropi więc jak sfora gończych psów... Fabrykanci i pachołkowie ich, majstrowie fabryczni pomagają — ile sił starczy. Wszystko nie pomaga. Robotnicy na ulicach śpiewają kolendę socjalistyczną i inne pieśni robotnicze."

To był zasadniczy nurt przeciwieństw. Jakby odgraniczona linią, po jednej stronie — garść rodzin fabrykanckich, powiązanych wzajemnie więzami interesów i krwi, po stronie przeciwnej — szeroka rzesza robotników.

Historia nawet podkreśliła ten wręcz symboliczny obraz sprzeczności. W czasie wielkiego buntu łódzkiego — masy wyległy i zapełniły ulice. Fabrykanci zebrali się w Grand Hotelu. Robotnicy — spokojni, zrównoważeni — obradowali nad sytuacją; fabrykanci — zdenerwowani, wystraszeni — radzili w wytwornej sali, jak ocalić majątki i głowy.

Łódź była niewątpliwie, obok Warszawy, głównym siedliskiem ruchu robotniczego. Tu walka miała najostrzejszy charakter, i tu przejawiała się w swej najwyższej formie. Rok 1892 — to kontynuacja i zarazem świetne urzeczywistnienie czartystowskiego hasła strajku powszechnego. Rok 1905 — to pierwsze od czasów Komuny Paryskiej walki barykadowe w Europie.

Taki był obraz lewej strony barykady.

Naprzeciw stał sombartowski bourgeois — przypominający zarówno idealnego niemalże mieszczanina — Beniamina Franklina — z jego pracowitością, skrupulatnością, oszczędnością pieniądza i czasu — i zdobywczego Carnegie — z jego brakiem wszelkiej etyki, jakiegokolwiek poczucia ludzkiej solidarności — Don Kichota pieniądza i złota.

„W Łodzi pamiętają — pisze Stefan Górski w wydanej w 1904 r. „Łodzi spółczesnej" — że czas — to pieniądz, a oszczędność — najprostszą drogą do bogactwa". Ale „Łódź jest (równocześnie) stolicą oszustwa i nadużyć. W stosunkach handlowych, nieraz najbardziej wyszukanymi drogami jeden „podchodzi" drugiego. — Sztucznie naciągają towar, by zyskać większą długość, fałszują gatunki materiału, wyrabiają tandetę, obliczoną na efekt naiwnych nabywców... Konkurencyjne zabiegi współzawodników posuwają się nieraz do brudów najobrzydliwszych, poszkwilów, podstępu..."

Amerykańscy milionerzy nie jednego konkurenta zlikwidowali fizycznie, łódzki bourgeois — bezwiednie — przeniósł amerykański styl życia na polską ziemię. Niejednokrotnie podpalają własnoręcznie swe fabryki, by pożarem odbić straty przedsiębiorstwa, nieraz podpalają konkurentów — by samemu wyróść na ich zgliszczach.

Czy obraz Łodzi jest ponętny? Bez wątpienia w pokrytych patyną tradycji miastach włoskich można dumać o wielkości i wzlotach człowieka, można malować poetyczne obrazy. Łódź nie zna poezji — pisze swą historię prozą. Prozą treści i formy pisana jest Reymontowska „Ziemia obiecana". W niej czerń rzeczywistości spotęgowana jest selekcją faktów i treści. Tu wszystkie ludzkie wartości ulegają niwelacji — niemniej obraz niebardzo odbiega od rzeczywistości.

Analizę i problem kapitalizmu stawia Reymont na płaszczyźnie moralnej — a moralność umieszcza poza czasem i rozwojem społecznym. Jakież jest więc kryterium moralności? Bez wątpienia — samowiedza swego człowieczeństwa. Pojęcia to niezbyt jasne, ale ściślej nie precyzuje ich Reymont.

Potępieniu ulegają wszyscy kapitaliści — właśnie dlatego, że tę samowiedzę utracili. A wraz z nią zaprzepaścili gdzieś istotny sens życia.

Że tamci giną — to nie ważne, są obcy, nie nasi — ale giną też i swoi. Borowiecki — szlachcic herbowy — przybywa do Łodzi i z trudem dorabia się majątku — buduje fabrykę — ale fabryka spala się, jak to często w Łodzi bywa, podpalona zapewne przez jednego z wspólników. Borowiecki nie poddaje się jednak losowi. Żeni się ekonomicznie — i znów zostaje fabrykantem. Ale w przełomowej chwili pojmuje, że przegrał swoje życie. Na końcu długiej wędrówki czekała go nuda i bezsens.

Bo czyż kapitalizm może komuś przynieść szczęście i samozadowolenie. „Dla tej „Ziemi Obiecanej", dla tego polipa pustoszały wsie, ginęły lasy, wycieńczała się ziemia ze swych skarbów, wysychały rzeki, rodzili się ludzie, a on wszystko ssał w siebie..., przeżuwał ludzi i rzeczy".

Łódź druzgocze szczęście ludzi. Wyrywa z tradycyjnego otoczenia, pozbawia uznanej pozycji społecznej i funkcji zawodowej. Wywraca na nice uznany zwyczajowo porządek rzeczy.

Dziesiątki pokoleń z trudem budowały gmach tradycji — pojęć ludu — schematu codziennych zajęć. W machinie miasta ginie i tradycja i cały trud przeszłości.

Reymont stanął wobec dylematu: tradycyjna wieś czy nowoczesna fabryka przemysłowa. A w konsekwencji problem agraryzmu czy problem uprzemysłowienia.

A więc kapitalizm — z jego wszystkimi wewnętrznymi sprzecznościami...

Marks w liście o Indiach dowodzi, że kapitalizm choć nieubłagany, choć bezlitosny i brutalny był jednak dla Indii pożyteczny. W każdym bądź razie wywlókł kraj z tej beznadziejnej apatii, w jakiej on dotąd tkwił. A powtóre — wtłoczył siłą elementy cywilizacji i wyższe formy organizacji pracy w ciasną, rodzinną strukturę społeczną Indii. To było jego działanie rewolucyjne — i to były jego bezsprzeczne zasługi. Przykład Marksa jest obrazem rozumowania historycznego i dialektycznego. Bo nie zapominał on nigdy o regresywnym wpływie kapitalizmu — ale w innym, późniejszym okresie historycznym — na gospodarkę Indii i niejednokrotnie go potępiał.

W Polskę kapitalizm wsiąkał powoli. Choć pierwsze jego objawy można dostrzec gdzieś w XV—XVI wieku, a później za czasów Augusta Poniatowskiego zjawiają się zalążki manufaktur — był on jednak w okresie Rzeczypospolitej królewskiej nader embrionalny. Ten brak kapitalizmu i silnego mieszczaństwa był jedną z tragedii Polski.

Wiek XIX a w szczególności druga jego połowa stoją pod znakiem szybkiego gwałtownego rozwoju przemysłu. Przychodzi on dwiema drogami — od wewnątrz i z zewnątrz. Na tyle od wewnątrz, że rząd czyni usilne starania zaaklimatyzowaniu przemysłu na terenie Polski. W roku 1827 wysyła nawet Benedykta Tykela do Prus, Saksonii i Czech, w celu sprowadzenia zagranicznych przemysłowców. Rok 1827 jest pamiętną datą polskiego kapitalizmu. Jest to początek, iście amerykańskiego, rozwoju Łodzi — tego centrum przemysłowego Królestwa Polskiego.

Później ludzie napływać zaczynają masowo. Miasto rozrasta się, krystalizuje, nabiera charakteru typowo kapitalistycznego osiedla mnożonych w nieskończoność baraków.

Przybysze przywożą z sobą również swoją burżuazyjną moralność. Zasadą jest ius prima occupantis i prawo silniejszego, — zasady wywodzące się zarówno z Hobbesa jak i Jana Jakuba Rousseau — ale których zwyczajowe formy można by znaleźć już wśród pierwotnych plemion kopieniackich i rolniczych. Jest ona na tyle niemoralną, że powoduje pauperyzację warstw ubogich, na tyle zaś rewolucyjną, że rozkłada ustroje pierwotne i wzmaga potencjał gospodarczy w dobie kapitalizmu.



Łódź, Plac Wolności — widok z r. 1865.

Dla przykładu: Geyer rozwijając swoje przedsiębiorstwo powoduje ruinę drobnych chałupników — tkaczy, a równocześnie sprowadza maszyny, wzmaga stopę produkcyjną swej fabryki. Ilość robotników zatrudnionych w jego zakładach pracy produkuje kilkakroć razy więcej towaru niż taka sama ilość tkaczy - chałupników. Wzrost dysproporcji między warunkami bytu klasy pracującej a zamożnością dyspozytorów kapitału — to jedno z zasadniczych przeciwieństw gospodarki kapitalistycznej. Jej moralność jak i amoralność są równocześnie bezwzględne. Ale dopiero rozpatrywane w oderwaniu od tła i okresu historycznego nabierają charakteru **metafizycznego.**

Czy była to moralność typu chrześcijańskiego, według zasad „kochaj bliźniego jak siebie samego" albo „kto w ciebie kamieniem ty w niego chlebem"? Miała tyle wspólnego z chrystianizmem, że nakazywała wierzyć weń innym. Mieszczaństwo łódzkie reprezentowało liberalizm w jego czystej postaci: bezwzględnej własności prywatnej i całkowitej swobody dysponowania swoją posiadłością. Nie było ani mniej, ani bardziej etyczne niż mieszczaństwo zachodnio - europejskie, a tym bardziej amerykańskie.

Szeroko jest rozpowszechniony pogląd, że jednak łódzki bourgeois — obcy narodowo, nie zaaklimatyzowany intruz jest bardziej brutalny i drapieżny. Ale czyż carlyle'owski opis społeczno - ekonomicznej sytuacji znacznie się różni w odcieniu barw od opisów położenia łódzkiej klasy robotniczej? A kto jest bardziej brutalny: Niemiec Geyer, organizujący lokaut, w obliczu szerzących się strajków, czy prof. Thiers, Francuz — rozstrzeliwujący bez pardonu francuskich robotników? Moralność klasowa jest — mimo nieznacznych różnic — międzynarodowa.

Niemniej moralność łódzkiej burżuazji trzeba by raczej odnieść do jakiejś wcześniejszej epoki kapitalizmu. Do tych zapewne lat, gdy Drake czy Raleigh na niewielkich korwetach łupili cudzoziemskie porty — a w Holandii czy we Francji rozgrywały się tragedie afer tulipanowych czy spekulacji Law'a. Bo to była moralność kapitalistów rzuconych w nieskapitalizowane, nieuprzemysłowione środowisko. Oszołomieni bezmiarem możliwości wierzą w dwie zasady: swoją energię i przedsiębiorczość. Wszystko co hamuje i ogranicza ludzką aktywność jest głupie i bezsensowne. Racjonalnymi są tylko te metody działania, które w konsekwencji przynoszą praktyczny efekt — pieniądz, towar, fabrykę. Honor, cześć, humanitarność — nabiorą sensowności, gdy będą praktyczne. A religia jest niczym więcej jak sankcją działania, które nie chce liczyć się z człowiekiem —ale jest usprawiedliwione wobec siły wyższej ponad ludzką. codzienną małostkowość, która wielką niemoralność umie usprawiedliwić. Przypuszczam też, że nie jeden z nich zapisałby sobie w sztambuchu słowa Kuźmy Medyceusza: „Chciałbym mieć za dłużnika Boga - Ojca, Boga - Syna i Ducha Świętego, aby ich wciągnąć do mojej rachunkowej księgi".

Ci łódzcy bourgeois dokonali rzeczy zaprawdę wielkich i kapitalnych. Zbudowali jeden z najpotężniejszych ośrodków włókienniczych w Europie. Podnieśli znacznie potencjał gospodarczy Królestwa Polskiego. Zaszczepili na gruncie polskiej gospodarki wielki przemysł.

Cóż im przeciwstawia Reymont? W usta Borowieckiego można by włożyć słowa Karola Dunover, który w książce „O wolności pracy" dowodzi, iż „dobrze się dzieje, że istnieją w społeczeństwie otchłanie, w które mogą wpaść rodziny źle się prowadzące i skąd wydobyć się będą mogły jedynie wtedy, gdy zaczną prowadzić się dobrze".

Łódź tańczy czartowskiego kontredansa. Kto się do tańca dołączy — straci duszę i siebie. Dokąd więc pójść?. W Łodzi ziemia jest gorąca, powietrze — parne, ludzie biegają jak opętani, skażeni egoizmem i sobkowstwem. Miasto, przemysł, kapitalizm demoralizują człowieka.

Wracajcie więc na wieś — na swoją rodzinną ziemię — jaką by ona nie była. To nie ważne, że zagroda biedoty chłopskiej nie przekracza 2 — 3 mórg. Że drobne parcele i spekulację ziemią utrzymują pasożytnicze

---

Zdzisław Laszcz

„PIAST" I NAGRODA NOBLA

W związku z artykułem o „Ziemi Obiecanej" warto przypomnieć kilka faktów.

W pierwszym rzędzie odnosi się to do okoliczności, w jakich przyznano Reymontowi nagrodę Nobla. Kandydaturę Reymonta do nagrody wysunęła po raz pierwszy Akademia Umiejętności w Krakowie w r. 1918, wybór jury padł wtedy jednak na Pontopidana. Dopiero w sześć lat później ponowiona trafiła na życzliwe przyjęcie. Kontrkandydatami Reymonta na terenie międzynarodowym byli Tomasz Mann, Tomasz Hardy oraz Maksym Gorkij. Zadecydowały względy polityczne, „moda na Polskę" w ówczesnej konstelacji politycznej.

Nawiasem mówiąc, polityka nagród tej międzynarodowej instytucji zasługiwałaby na obszerną i gruntowną analizę. Można by sporo światła rzucić na dzieje kultury europejskiej już przez samo zestawienie i opis takich elementów, jak: aktualna sytuacja polityczna, przynależność i orientacja społeczna i polityczna jurorów i nagrodzonego, a wreszcie także treści i formy utworów nagrodzonych.

Reymont nagrodzony został za „Chłopów", w których wydobył i wystylizował wszystkie archaiczne w jego mniemaniu i zanikłe gdzie indziej pod niwelującym odrębności wpływem miasta — cechy kultury wiejskiej i regionalnej. Chłop lipecki pokazany został jako „człowiek wieczny", związany nierozerwalnymi węzłami z ziemią i wpleciony w procesy i rytm cyklicznych przemian natury. Intencją autora było obnażyć krzepkie i zdrowe, w przeciwieństwie do zgnilizny toczącej miejską część narodu i ludzkości — korzenie człowieczego bytu.

W tym tkwiła koniunkturalna przewaga Reymonta nad Żeromskim, jako kontrkandydatem kół postępowych w Polsce. Koniunkturalna, ponieważ „Piast" był ówcześnie w Polsce u władzy. Związki polityczne i światopoglądowe Reymonta z tym obozem politycznym miały znaczenie rozstrzygające i oddziaływały także na zagraniczną politykę kulturalną. Manifestacją zaś tych związków i osiągniętego wspólnie jakby sukcesu był odbyty w sierpniu 1925 r. ludowy zjazd „Piasta" w Wierzchosławicach pod hasłem „hołdu dla pisarza, który rozsławił chłopa polskiego po świecie". Nie dodano tylko, że z jego specyficzną receptą kulturową na odrodzenie ludzkości. Uznanie zagranicy, Zachodu zmęczonego przerostami kapitalizmu i szukającego wyjścia z kryzysu ścieżkami powrotnymi, dla utworu regresyjnego, przyjęto w Polsce cierpiącej chronicznie na brak uprzemysłowienia i urbanizacji za dobrą monetę, za aprobatę „piastowskich" propozycji politycznych trwania w izolacji i pierwotności.

Nie zorientowano się nawet komu to mogło iść na rękę. Pięknie to było i sielankowo jeszcze w r. 1929, kiedy „Chłopi" pasowali jak ulał do filozofii kultury Spenglera. Z satysfakcją cytował T. Zieliński najnowszą książkę tego autora „Der Untergang des Abendlandes" w swym szkicu „Włościaństwo w literaturze polskiej" (Odb. z „Wiedzy i Życia" Nr. 7 r. 1929) oraz jego formułę „chłopa - człowieka wiecznego, niezależnego od wszelkiej kultury, która gnieździ się w miastach". Pilnie słuchali tego hitlerowcy, gdy profesor wykładał im tę rzecz na zaproszenie w Monachium bodajże, wyciągając praktyczny dla siebie wniosek że „Chłopi" są kluczem do psychiki chłopa polskiego, kluczem pozwalającym nami... owładnąć.

dwory. Ze w toku procesu parcelacji wyrasta nowa kułacka własność i kułak coraz łapczywiej zagarnia biedacką ziemię, a biedakowi jest coraz trudniej ochronić swoją własność. Pierwszy coraz dumniej patrzy w świat i Boga — który jest przecież opiekunem tylko silnych — drugi czuje coraz bezlitośniejszy nacisk kapitalizmu.

Kapitalizm torował sobie drogę w historii nie miłością — a twardą pięścią. I w mieście i na wsi. Tylko, że w tej ostatniej proces narastania dysproporcji ekonomicznych był powolniejszy, bardziej ukryty, zamknięty w ciaśniejszych granicach — stąd mniej dostrzegalny.

Ale osiadajcie na wsi, bo tam jest spokój, cisza — i człowiek nie gubi duszy. Bóg jest na wysokościach — a ziemia rodzi ziarno. Czegóż wam jeszcze trzeba?! Że owa na wpół przeorana przez kapitalizm wieś jest tragedią narodową — kogóż to obchodzi.

Kapitalizm jednak żyje i rozwija się. Czy kto chce czy nie chce — on istnieć będzie jeszcze długo. Ale kapitalizm jest przecież zły, niemoralny — wręcz nieludzki.

Bądźcie więc humanitarni. Rozwijajcie filantropię.

To jest definitywna odpowiedź na rzeczywisty wyzysk klasy robotniczej. Konkluzja nie więcej moralna — niż moralność kapitalisty, bo niezdolna do przezwyciężenia kapitalizmu. A co gorsza łudząca iluzją i zaciemniająca istotne sprzeczności ustroju.

Etyczną nie jest ucieczka od kapitalizmu — ale budowa na jego gruzach ustroju, w którym podział społeczny pracy nie będzie kolidował z ludzką moralnością.

Reymont pozostaje w zaułku bez wyjścia. Kapitalizm jednak rodzi swego następcę i mściciela.

„W poniedziałek spadł deszcz — piszą robotnicy Scheiblerowskiej fabryki 23 sierpnia 1911 roku — i zaraz cała fabryka została zalana wodą po kostki, tak pracowaliśmy przemoknięci przez pół godziny. O godzinie 4-ej przerwano pracę, bo dłużej niepodobna było stać w wodzie. Ciekawa rzecz, kto nam zapłaci za stracony czas i możliwe przeziębienie. Tak to administracja dba o zdrowie robotnika.

Pora nam pomyśleć o polepszeniu warunków bytu. A można to uskutecznić tylko za pomocą zorganizowania się w silny, czysto klasowy Związek Zawodowy".

W codziennej walce i trudzie rodzi się świadomość klasowa robotników. Tu wytwarza się — tak słusznie i trafnie nazwany przez Czarnowskiego — kolektywizm — jako przeciwieństwo burżuazyjnego indywidualizmu.

Każdy strajk — to próba klasowej solidarności i zwartości. Każda akcja polityczna — to sharmonizowane współgranie obszernych grup ludzkich. Tu, w walce nielegalnej o prawo do życia — człowiek uczy się bez złudzeń traktować człowieka — wierzyć i niedowierzać towarzyszowi. Człowiek przestaje być idealistyczną mistyfikacją.

Tym ludziom, złączonym najmocniej wspólnością społecznego losu i mechanizmem wielko-przemysłowym produkcji, życie udziela wielkiej lekcji uspołecznienia. Zmusza do zlikwidowania mechanizmu społecznego, który czyni człowieka poniżonym, godnym pogardy, termitem pracującym bez świadomości sensu swego trudu.

„.... przekonałem się, że wśród robotników fabrycznych niema przesądów kastowości cechowej, niema „panów czeladników", nie ma chłopców, których „uczy się" bijąc, ani „kafrów", którzy w ogóle nie są ludźmi, dalej, że robotnicy fabryczni nawet wykwalifikowani, nie mówiąc o niewykwalifikowanych, wolni są zupełnie od marzeń o zostaniu samodzielnymi przedsiębiorcami, marzeń, których nawet towarzysze — rzemieślnicy nie wyzbyli się całkowicie do dziś dnia. W fabryce istnieli tylko robotnicy więcej lub mniej wykwalifikowani i lepiej lub gorzej zarabiający, ale zawsze będący w swoim przekonaniu tylko żywym dodatkiem do maszyny — kapitałów, bez której tracili swoje kwalifikacje i dlatego nie mogli mieć podstaw do marzeń o „samodzielności". (Olbrzymy, wspomnienia starego robotnika z lat 1893 — 18, Z pola walki, nr. 4, str. 10).

To jest fundament moralności jutra.

Nie izolowana całkowicie parcela i nie filantropijny humanitaryzm, ale społeczne, zbiorowe współdziałanie i racjonalny społeczny podział pracy, oraz konsekwentna, klasowa walka — mogą przełamać cienkie okucie kapitalizmu.

Nie powrót na wieś w ciasne opłotki zagrody — ale wyciągnięcie chłopa na szeroką arenę społeczno-narodową — jest fundamentalną zasadą likwidacji zacofania wsi i najpewniejszą bronią przeciw kapitalizmowi.

Nie wieś — jaką by ona nie była — ale wieś uprzemysłowiona, wieś zasobna w maszyny rolnicze i traktory — będzie podstawą nowej moralności.

Moralności, która zrodziła się w długotrwałej walce klasy robotniczej i biedoty chłopskiej. Moralności społecznej i ludzkiej.

Jakub Litwin

SPROSTOWANIE

W Nr. 3, w artykule Jerzego Starnawskiego „Sumienność etnograficzna" opuszczono z powodu braku miejsca źródłowe ustępy o wierzeniach ludu i kulturze społecznej wsi. Nadto wkradły się do tekstu omyłki: „Rozpalono ognisko z drzewa osikowego pod **krzyżem** na rozstajnych drogach", oraz w innym zdaniu **„resumując"** (zamiast reasumując).

Jan Aleksander Król

PISARZE WOBEC FILMU

1. O NOWE „DOŚWIADCZENIE SPOŁECZNE"

Pytano nas ustnie, pytano w listach, co sądzimy o „Jasnych Łanach"? Czytaliśmy w różnych pismach dowcipy i złośliwości. Atmosfera skandalu? Ale w której strefie? Filmu czy **literatury?** Reżyser, operator, i kamera filmowa są czynnikami wcale nie autonomicznymi. Rozstrzyga koncepcja i scenariusz. Rozstrzyga pisarz! Z okazji „Jasnych Łanów" a bardziej jeszcze ze względu na przyszłe filmy o wsi chcemy pomówić z pisarzami. Ostatnio wysunięto technologię filmową, jako warunek dla pisarza - scenarzysty sine qua non. Tą wcale pożyteczną wiedzą nie próbujmy jednak przesłonić wiedzy rozleglejszej i wcześniejszej, z jakiej pisarz musi zdać egzamin. Co naprawdę kształci literata? Literatura i doświadczenie społeczne. Co kształci scenarzystę? Filmy i doświadczenie społeczne. Poeta w roli czytelnika, scenarzysta w roli widza kinowego oto ich technologia.



„Jasne Łany" Fot. Film Polski

Film realistyczny stanowi dla pisarza próbę, sprawdzającą go przede wszystkim jako **prozaika.** Odsłania stopień **doświadczenia społecznego** pisarza. To, co nas tak zawsze uderzało u wielkich prozaików: Balzaka, Dostojewskiego czy Prousta. Jakby przemawiała „sama", zagęszczona rzeczywistość społeczna.

Filmy o wsi szczególnie zaostrzają tę próbę. Scenarzysta podejmuje się odbyć wyprawę analogiczną do Reymonta, Orkana, Kowalskiego, Pogana, Gałaja. Trzeba znać **materiał** i trzeba go **skonstruować.** Ale materiał, ale w nim!

Jest w Polsce sytuacja dość osobliwa. Rozbudowujemy przemysł, aby upowszechnić nowoczesną technikę produkcji. Zmieniamy przez to stosunki społeczne produkcji. Mówiąc językiem przeszłości rozszerzamy „klasę robotniczą", zmniejszamy ludnościowo dawną „warstwę chłopską". Oczekujemy w wyniku zapanowania „świata pracy" (chłopsko - robotniczego), który zmieni tradycyjną pozycję socjalną inteligencji i mieszczaństwa i nada im nową funkcję społeczno - kulturalną. Gdzież zatem w najbliższych latach będą zachodziły najbardziej dynamiczne i najbardziej ważne procesy społeczne, jak nie w klasie robotniczej i nie na wsi?

To sprawa nie tylko tematu dla pisarzy. To sprawa rzeczywiście nowej i rzeczywiście głównej problematyki społecznej. Nie można jej zostawiać jako resztówki tylko pisarzom chłopskim z pochodzenia. Życiorysowe doświadczenie ma wagę. Ale najważniejsze jest doświadczenie społeczne. Dla Prusa mieszczanina, wieś stała się ważnym problemem, jako rezerwuar jednostkowych talentów, potrzebnych do wzniesienia industrialnej kopuły polskiego kapitalizmu. Dla drobno-mieszczanina Reymonta w okresie rozczarowań do kapitalizmu, rujnującego już drobną własność (sklepik i przedsiębiorstwo) wieś „piastowska" bliska „naturze" służy złudnemu krzepieniu serc, że niby tak rozległa „półkolonia" to chyba nie kolonia.

Dzieje robotników i chłopów są dzisiaj dziejami **panujących klas.** Koniński pisał przed wojną, że chłopów nie interesują powieści z ich życia. Ale będą! Nie interesowały, kiedy „lepsze życie" było przywilejem innych klas, a ich własne bez perspektywy, bez szans na powszechny awans społeczny. Nie interesowały, bo ich życie zatrzymane i ustalone było znane. Ale przestaje już być znane, kiedy staje się dynamiczne, pełne gwałtownych, różnorodnych a pozytywnych zmian. To nowe życie traci charakter gettowy, tworzy **nową treść narodową.** W skali wartości narodowych getta i rogatki kulturalne ulegają i ulegać będą przesunięciom. Na rogatkach znajdą się między innymi ci, dla których literatura ludowa będzie literaturą dla ludu, **bez niego jako głównego bohatera.** Z tego trzeba sobie zdać sprawę.

2. SALONOWY FILM POLITYCZNY

Wróćmy do „Jasnych Łanów", to jest do filmu pozornie przyjmującego za bohatera wieś i chłopów. W wielu listach pytano nas tak: jak elektryfikacja to po co polityka? Myśmy spytali inaczej: jak elektryfikacja to z jakich powodów? I dali odpowiedź: z politycznych właśnie! Oświetlenie wsi polskiej to jeden z rezultatów rewolucji. Taki jest chyba morał filmu. Oglądamy w nim **ostatecznie** polityczne dzieje Polski ostatnich lat na wiejskim zapłociu. Ostatecznie, bo te sprężyny wyjaśniają stosunki społeczne w Jasnych Łanach, nową szkołę, spółdzielnię, elektryfikację a nawet romans. Takie można i słuszne odczytać założenie filmu. Ba, ale realizacja.. Wrogowie nowego porządku są polityczni. Od prowodyrów z WIN-u, czy NSZ-tu do klasowo z nimi związanych kułaków. Druga strona jest **czystą kartą.** Wyszła z bezdziejów politycznych. Nie ma przeszłości ani przedwojennej, ani konspiracyjno-partyzanckiej ani partyjnej po wojnie. **Dobrzy ludzie.** Dobroć wie jak działać historycznie. Tę filozofię podsunął pewnie proboszcz, który przez skromność nie chciał się w filmie pokazać, ale swoją mszę i tak odprawił.

To jest pierwszy, **podstawowy** błąd **koncepcji** filmu. Partie nabrały w nowej Polsce znaczenia **instytucjonalnego.** Stanowią podstawę ustroju. I we wszystkich Jasnych Łanach byli partyjnicy, i w gminie byli i wciąż ze świata „emisariusze" polityczni do nich przychodzą. To jest typowa struktura polityczna nowej wsi. „Jasne Łany" ukazują, niestety, **symboliczne** dzieje wsi w Polsce powojennej. To znaczy, każą 50 tysięcy wsi zastąpić obrazem jednej. Nie będzie tu dlatego ani specyficznych, konkretnych uwarunkowań ani odpowiednio konkretnych osiągnięć. A tylko jakaś pseudo - przeciętna, jak było (w ogóle!?) i pseudo-przeciętna, jak w ogóle będzie. To jest **drugi** błąd **anty-realistycznej** koncepcji filmu. Ale dlatego w symbolicznych Jasnych Łanach winna być choć „symbolicznie" upolityczniona i strona postępu.

Tymczasem trzech zakonspirowanych reakcjonistów z rewolwerami terroryzuje trzech szlachetnych ludzi. Tak powstał **salonowy film polityczny.** A gdzie bohater? Ta właśnie **społeczna reszta wiejska** poza salonową szóstką? Jak się w niej przedłuża i rozgrywa polityczność jednej i drugiej orientacji, w sytuacjach filmowych jak **aresztowania, pogrzeby zabitych, kontyngenty, kazania kościelne, wiece, rady gminne.** Wymieniam sytuacje typu „czysto" politycznego. Nie ma ich!

Gdyby politycznie film nie został przewrócony dokonałby i **artystycznego** odkrycia: ruchu masy społecznej i przestrzennej.

3. WARUNKI SPOŁECZNO-GOSPODARCZE

Kto chce zelektryfikować Jasne Łany? Nowy nauczyciel. Kto przyjmuje projekt? Bez dwóch reakcjonistów cała wieś. Z jakich powodów? „Jak wy kumie to i ja". Co ma dać elektryfikacja? W filmie — oświetlić wesele w pałacu i drogę wiejską. Jak wygląda proces budowy sieci? Wcale „nie wygląda", nie jest problemem, odbywa się za plecami chłopów i poza zasięgiem naszego wzroku. Za pozwoleniem, rozwiązania mogłyby być dwa. Albo rząd gwałtem wsie elektryfikuje, albo jest to od wewnątrz wsi powstałe i realizowane przez nią zadanie. Jak dotąd powszechnym jest drugi proces. Ale gdyby nawet rząd „przez siłę", to i wówczas stałby przed autorem problem, jak się wieś zróżnicuje społecznie w jakich grupach będą większe opory i jakiego rodzaju? Krótko mówiąc, w procesie elektryfikacji ujawnić się muszą **stosunki społeczne wsi.** Tak u autora powieści, jak u autora scenariusza.

W Jasnych Łanach siła elektryczna to tylko — żarówka. Ale nawet ograniczona do żarówki nie przestaje być faktem społecznym. Jaka jest struktura tego faktu i współzależność od innych — oto pytanie centralne widza. Jeśli wsi potrzebne jest tylko światło, to z jakich przyczyn? Jej położenie (odległość od miasta, kolei, szos), jej stan zamożności, stopień technizacji, stopień i ilość organizacji gospodarczych, instytucji społecznych i oświatowych? Czy elektryka ma być kwiatkiem do kożucha? Wyprzedzać produkcyjny postęp gospodarczy i kulturalny, czy sensownie wkraczać w odpowiednie stadium rozwoju społeczno-ekonomicznego wsi? Jeśli kwiatkiem do kożucha — to nowy problem: jaka część wsi chce się nim przyozdobić? I co przyozdobić? Jaka jest jej siła i na czym polega w stosunku do innych grup. W jakim zasięgu przeprowadzić zamierza (dla kogo?) elektryfikację. Drodzy pisarze, tych rzeczy nie wolno tykać bez wiedzy społecznej, bez znajomości konkretnych sytuacji.

W dyskusji o „wsi doskonałej" Kapuściński opisał rzeczywistą, rodzinną wieś, gdzie postęp kapitalistycznego rozwoju osiągnął już i Kółko rolnicze i spółkę maszyn i mleczarnię i kasę pożyczkową. Wieś przemieniała się przed pierwszą wojną nieomal w osadę, z ryneczkiem, przy którym skupiły się murowane kamieniczki najbogatszych chłopów i właśnie wtedy podjęto akcję oświetlenia, jak pisze Kapuściński — „centrum wsi".

4. ELEKTRYFIKACJA — KWIATEK DO KOŻUCHA

Nadesłał nam Piotr Wyrobek list od swoich krewnych z Osielca pod Makowem Podhalańskim. Elektryfikuje się Osielec. Piszą do niego krewni: „Kochany Wujciu! Pozdrawiamy Was jak najserdeczniej i zapytujemy się, czyście zdrowi wszyscy — bo my dzięki Bogu dosyć się trzymamy. Święta my przeżyli spokojnie i szczęśliwie. Mieliśmy jesień długą, ale nieużytą, bo było mokro i robót nie udało się pokończyć. Mieliśmy też dużo roboty z tą elektryfikacją, bo trzeba było słupy zwozić z lasu i zakopywać. Transformator stawialiśmy na Morawowej, rozbieraliśmy starą szkołę i z tej cegły murowali budkę na 8 metrów wysoką a na 4 metry szeroką. Stamtąd idą cztery linie: jedna na górny Osielec do Grzybka i do Hodawy, druga na zagrody do Ujczaka i do Błażka, trzecia u nas poza wodę, przez działki ku „szewcowi" — do Książka i do Kota — do Horwata — koło samych domów — do Balcarza i do Koprzka — czwarta idzie koło gościńca aż do Rusina i na Koniówkę.

Teraz zakładają przewody do kościoła, będzie cały kościół oświetlony. Będzie to kosztowało **bardzo drogo,** ale się jakoś zrobi — będzie oświetlony kościół, **a po wsi, kiedy będzie kogo stać na to.**

Już my przewody poprzeciągali, to już to światło kiedyś będzie. Ja mam blisko domu, linia przechodzi przez ogródek. Jesiony koło kościoła ksiądz sprzedał na te koszta, a na resztę (ho, ho, ile to będzie) złoży się parafia. Miała być elektryka na święta gotowa, ale jeszcze nie wszystko gotowe do puszczenia światła w ruch. Teraz Kochany Wujciu winszujemy Wam szczęśliwego i pomyślnego Nowego Roku, daj Wam Boże!"

Czy ten list z Osielca nie jest świetnym konspektem do scenariusza? Macie przykład elektryfikacji, jako kwiatka do kożucha. Oświetli się kościół, a we wsi **„kiedy będzie kogo stać".** To znaczy — teraz nie stać. Jaka siła społeczna działa? Parafia. Wysiłek i koszty wieś poniesie. Motorem nie jest tu ani społeczne dobro świeckie wsi, ani korzyść indywidualna. Sugestia plebanii, snobizm wobec bogaczy, którzy księdza pod baldachimem prowadzą i którzy będą agitować za elektryfikacją... kościoła. Ta akcja parafialna dla idei, obciąży wszystkich w kosztach podstawowych (transformator i cztery linie sieci). Dotąd wysiłek społeczny. Dalej — biedniakom, nie pobudzonym innymi bodźcami zbraknie pieniędzy i celu, aby „lekstrykę" założyć. Ale bogaci chłopi do „idei" (przez wieś opłaconej) lekko dołożą należność za domową instalację. Sprawa nie skończona. Osielec leży między Suchą a Zakopanem. Ma szanse letniskowe. Jest Skawa, jest gościniec i kolej. Światło u bogatych to nowy etap zdystansowania ekonomicznego biednych. W ich **lepszych** domach **ze światłem** zamieszka kuracjusz. Czy na tym tle nie dojdzie do zaburzeń wewnętrznych, do mobilizacji biedoty? Do jej wyemancypowania się z kręgu parafialnego? Przyjrzyjcie się owym czterem liniom sieci, kogo mijają? Kto są te Grzybki, Błażki, Koprzaki, ów szewc? Ten list uczy, psiakrew, lepiej od katedry literatury, jak trzeba widzieć problem powieści czy filmu. Uczy, że właśnie — **społecznie.** Po tych liniach wędrując kamerą filmową pokażcie, te zagrody, klasy chłopskie, te losy ludzkie odmienne przez różnice społeczno-gospodarcze. Pokażcie, jak

partia (a musiał być jej zalążek) biedniaków oponowała przeciw idei elektryfikacji Osielca. Jak zgadzała się wreszcie na kościół. pod warunkiem, że bogaci dadzą taki wkład, który opłaci biednym instalacje w zagrodzie. Powiedzmy, że przegrali. Powiedzmy, że światło jest w kościele i u bogaczy, że w sezonie letnim i zimowym wycieczkowicze siedzą u gazdów. Pokażcie nową próbę biedniaków (Koła partyjne, ZSCh, PRW, Wici). A jest szansa. Składają zbiorowe oferty instytucjom, miejskim organizacjom robotniczym, harcerstwu, Związkom Akademickim itd. Mogą przyjąć 200—300 osób na sezon. Warunki wsi zorganizowanej więcej niż przystępne. Warunek dodatkowy: kursy dokształcające. Bodziec jeden — goście w sezonie w każdej chałupie, bodziec drugi — intensywna akcja kursowa — a elektryczność wejdzie w dom i zagrodę biedniackiej wsi — jako realna i konieczna wartość ekonomiczna i kulturalna.

5. SZOPKA SPOŁECZNA CZY STOSUNKI SPOŁECZNE

„Jasne Łany" nie odsłaniają żadnych sił społecznych wsi, któreby uzasadniały polityczną interpretację filmu. A już najmniej służy do tego elektryfikacja. Z salonu politycznego przechodzimy z kolei do **szopki społecznej.** Po stronie „reakcji" stoi dawny rządca dworski (pseudonim „Elegant"), młynarz i sklepikarz. Po stronie „postępu" — nauczyciel, stary chłop Gruda i kierownik sklepiku-spółdzielni. Eleganta dosięgnie policja, młynarza za bimber ręka prokuratora, sklepikarz zmiarkuje jak w trawie piszczy i ugnie się. Marksizm potrzebny był widać autorowi po to chyba, aby przekonać widza, że to szopka — proszę panów — z klasowymi stosunkami. Trzask, prask — i już wygładza się powierzchnia społecznego życia wsi polskiej.

Kto zrozumie wewnętrzny podział wsi na klasy na przykładzie młynarza i sklepikarza bez ich klasy w zapleczu, bez zestawienia z innymi? Czy przyszło do głowy autorowi pokazać zwózkę zboża do młyna, dzienny przemiał 500 metrów zboża. Procent zarobku ukazany w workach mąki, na miesiąc, na rok. Co za potworne zestawienie z dorobkiem rocznym biedniaka i średniaka. Czy przyszło mu do głowy pokazać domy, obejścia, narzędzia i bydło bogaczy, wystopniować średniakami i porównać z biedotą aż do krańcowych wypadków? Czy zagrał polami? Parcele jednych i drugich? W przestrzeni, w obróbce, w plonach. Mapa prof. Stysia wsi Husowa ma krzyczącą wymowę filmową. Na dawny podział na łany nałożony został z kilku okresów postępujący rozpad i podział gruntów. Skrawki — skrawki, ale są jeszcze i XVI-towieczne łany. Oto społeczny obraz wsi. A w życiu parafii nie ma okazji do plastycznego ukazania całej drabiny hierarchii społecznej wsi? A ta nieszczesna żarówka nie zobowiązywała do przeglądu chociażby domów wieczorem. Czym oświetlone i jak długo? Dowiedzieć pragnęlibyśmy się u kogo palenisko świeci, u kogo stajenna lampka, gdzie naftówka, gdzie z kloszem? Ile jest jednych, ile drugich? Jak nikną i w jakiej kolejności te światła? To też jest przegląd społecznych stosunków. Filmowy, fotogeniczny! I nie dlatego. że bawi jak antykwarnia świateł, ale że daje historię oświetlonych różnie różnych losów społecznych ludzi wsi!

6. SIŁA PRĄDU TO SIŁA GOSPODARCZA

Dla samych chłopów problem elektryfikacji stoi o wiele poważniej: żarówka, tak, ale i siła produkcyjna. Na tych rogatkach kulturalnych rozwijała się przed wojną ideologia agraryzmu, mit technicyzmu, prześcigający osiągnięty dotąd stan przemysłowej produkcji. Elektryczność rozparceluje wielkie skupienia fabryczne. Linie wysokiego napięcia i transformatory pozwolą zakładać w dowolnym miejscu dowolne przedsiębiorstwa. Z tej utopii zostały dzisiaj dwuznaczne realia. Motorki Diesla, masowo skupywane i szabrowane przez bogatych chłopów, z nimi czekają oni na elektrykę. A są jeszcze młyny, tartaki, mleczarnie, gipsiarnie, wapienniki, cegielnie, betoniarki itd — na wpół zrujnowane, nie opłacalne bez wyższej i tańszej siły napędowej. Wstawcie w taką okolicę transformator, a będzie się to równało wsadzeniu kija w mrowisko. Ja operuję faktami. Będziecie mieli takie widowisko jak gwałtownie powstałą spółkę. która tysiącznymi sposobami próbować będzie wykupić od biednej wdowy z dwiema córkami całą parcele (3 morgi), bo na niej jest skała gipsowa. Coraz lepsze warunki — spółka zapewnia rententalnie dożywotnie utrzymanie wdowie. Wdowa sprzedaje. Wraca druga córka z zachodu Ta przeszła oświecenie. Protestuje. Sprawa odsłania swoją społeczną podszewkę. W obronie córki staje biedota z ZSCh. Będzie gipsiarnia, ale nie pięciu kułaków. Trzy motorki kułaków dyktują prawie całej gminie omłot i przemiał. ZSCh nabywa czwarty, obniża cenę, doprowadza do bojkotu kułackich motorków. To są pierwsze z brzegu fakty. Ale w „Jasnych Łanach" jest ciemno od niewiedzy. Elektryczność nie gra tu gospodarczo. I znów film marnuje okazję do ukazania konfliktów społecznych wewnątrz wsi i gminy. Do ukazania jej klas, jej własnych bohaterów, reprezentantów tych walczących sił. Całej skomplikowanej dialektyki zmieniających się powiązań i sojuszów i różnych sensów chwilowych porozumień. A na tej, na pozór pogmatwanej, drodze wykuwa się ciężko i uparcie społeczny postęp wsi.

7. SPÓŁDZIELCZOŚĆ TO NIE SKLEPIK

Jest w Jasnych Łanach na przyczepkę — spółdzielnia ZSCh — sklepik. Bywają i takie tylko! Ale wówczas film musiałby odpowiadać na generalne pytanie — **dlaczego?**

Spółdzielnia gminna ZSCh ma inną perspektywę. Gdzie tu resztówka. gdzie przemysł lokalny, gdzie historia rozdziału nasion siewnych, nawozów, krów, koni, obsługi maszynami rolniczymi, traktorami, historia związków branżowych, upraw specjalnych? Gdzie tu historia walki biedniaków z kułakami? A każdy z punktów tego indeksu to jej rozdział. Każdy następny mówi o nowym etapie wzmocnionej pozycji biedniackiej wsi, o jej postępie w solidarności społecznej, w technice organizacji, w sztuce przechylania na swoją stronę średniaków.

Każdy z tych rozdziałów wymaga zwarcia nie paru kukieł z szopki, ale grup, obozów w scenach zbiorowych. Pokażcie zapasy zboża u bogatych i wprowadźcie ich na zebranie, gdzie się dzieli ziarno na zasiew. Wyobrażacie sobie te dwie strony? I biedniackie: nie damy! A potem kompromis — damy, ale dajcie wy siewniki, brony i konie, konie do orki.

Wystudiujcie obiektywem te twarze i postacie, przerzućcie go na podwórza zagród. Wygrajcie proces ustępowania większości pod naciskiem konieczności... no, jakich? I nie kończcie jeszcze. Pokażcie pola bogaczy, dużą gospodarke zbożową, ich małe ryzyko w oddaniu pod buraki cukrowe, tytoń czy przemysłowe rośliny 1/5 czy 1/4 parceli. Pokażcie dziką, mieszaną, naturalną gospodarkę małorolnych. To w jednym roku. A w drugim — małorolni zbiorowo ryzykują całymi parcelami rejonizacyjną uprawę. Doganiają kułaków i wyprzedzają przez zakontraktowany zbyt. przez zbiorową do spółdzielni dostawę (premie, wymiana). Jeśli jest jakiś przemysłowy obiekt w posiadaniu Spółdzielni Gminnej biedniacy mogą już zainwestować traktor. Bagatela, cztery razy krótsza orka, dwa razy tańszy koszt dniówki. Jaki będzie miało przebieg w następnym roku zebranie w sprawie nasion, ziarna, nawozów, rozłożenia podatków?

8. BOHATEROWIE Z MINIONYCH STOSUNKÓW SPOŁECZNYCH

Sprawa bohaterów-przywódców. Jaką siłę społeczną reprezentuje stary Gruda? Żadną. To kreacja papierowa, z archiwum „starych sług u ślachetnych panów". Trzyma się nowego nauczyciela, bo u niego „zawsze" mieszkali nauczyciele. We dworze bywał kiedyś Gerwazym, albo Grzegorzem, u jasnych i zbiedniałych panienek Rodziewiczówny, łagodnym Maksymem ku pomocy. Dalej ani na krok. Oto „poetyka" tej postaci. Dlatego w jego zapleczu wieś ukazana zbiorowo przypomina „Chatę za wsią" Kraszewskiego.

Kmiotki — potulna, naiwna i śmieszna masa. Wyodrębnia się... głupek. To jest właściwy dla społecznego jej rozumienia kierunek derywacji. A krewniaczka Grudy, z którą żeni się nauczyciel? Najpierw — Axentowicz. Wiochna wsiowa. Czułe serce; rozeznaje, jak zwierzątko dobrych i złych panów. Bo i ona ma kierunek na panów. „Coś" ją odpycha od łajdacko wyglądającego. Eleganta i „coś" przyciąga do nauczyciela o obliczu rozanielonego kleryka. I tu jest Rodziewiczówna z nowel o pańskich zalecankach. Dziewczyna odcięta od kręgu rówieśnic, od społecznego, instytucyjnego życia wsi. Przyjeżdża inżynier-mierniczy. I pokazuje się — „ja nie hodowałam się dla chłopa na sługę". „A na cóż — pyta ojciec — na panowanie?" „Nie na panowanie ale i nie dla gbura". Tak u Rodziewiczówny. A czy inaczej w „Jasnych Łanach"? Nie to, nie tamto. Dać jej lepszy los — powiedział w Ameryce zdemokratyzowany reżyser. I tu się rozeszli z Rodziewiczówną, ona kazała inżynierowi zaniechać dziewczyny i wyjechać. za to go stary Makar pocałował w rękę. Wyspiański, Rydel, Tetmajer pożenili się z chłopkami, ale w imię ideologii regeneracji biologicznej, powrotu do natury, „chłop potęga jest i basta". Zdrowa ładna i **wiejska** — dostateczny powód.

Nauczyciel w „Jasnych Łanach" pochodzi z robotniczej rodziny. Tak on wyznaje, film mówi co innego. Inteligent, jak cholera, „simaczka" w portkach. Dzieciom zawraca w głowie „szklanymi domami". To po co on robotnik? Gdzie „walka klas"? Dlaczego nie szuka partyjnych kolegów we wsi, w gminie i nie od tego zaczyna? Oczywiście, to nieprawe dziecko Żeromskiego uwikła się w pojedyńcze dramaty opuszczonego chłopca i opuszczonej dziewczyny. Kręcą mu się przed nosem, no to małego wyśle do szkoły technicznej, a dziewczynę... poślubi. Trudno sobie wyobrazić trzecią sierotę. Jużby nie podołał. I on przeprowadza elektryfikację? A skąd? Czy zaczął od przejrzenia warunków ekonomicznych wsi, **poznał** rozłożenie sił, potrzeb i możliwości w tej gromadzie? Decyzja zależy od pieniędzy, od gry różnych grupowych interesów. Ale ten problem w „Jasnych Łanach" nie istnieje. Udał się, nie ma co mówić, nauczyciel pepeerowiec. Partii dla niego nie ma, rady gminnej — nie, klas gospodarczych — nie, młodzieży zorganizowanej — nie i dzieci również — nie. Bo czy dla nich ta elektryka? A kiedy on przeliczył dzieci, młodzież, jej warunki domowe, pracy, próżnowania? Możeby wówczas wybrał na kursy techniczne 20 z planowym ich przeznaczeniem do pracy we wsi od podstaw. Możeby w „Wiciach", w związkach branżowych, w rzeczywistej spółdzielni ZSCh znalazł dziewczyne-towarzysza, reprezentanta dynamicznej siły społecznej nowej wsi, a nie pierwszy lepszy eksponat ludomańskiego mitu o wystarczalności biologii i szlachetnej duszy ludu.

Ta rekwizytornia kreacji na bohaterów wisi w próżni. Kukły z innych epok, stosunków społecznych i staroświeckich portretów literackich odcięły autorów od współczesnej rzeczywistości Polski i wsi. Trzeba zacząć od studiów społeczno-gospodarczych, od prac naukowych i publicystycznych, które przeorały problematyke wsi polskiej z jej wczoraj na dziś. Tu dopiero czekają na pisarza i reżysera odkrycia artystyczne i filmowe. W granicach nowej teorii poznania, w obliczu nowego, zmienionego przedmiotu poznania rozwiną się nowe formy i nowe wzory kreacji bohaterów, nie odbijających się od tła, ale przez nie właśnie skonkretyzowanych. Bo koniec z tłem szopki czy salonu! Masa społeczna i masa krajobrazu — one są w rzeczywistości i muszą być w filmie w ruchu i działaniu. Jeśli one nie będą znaczyć i wyjaśniać, bohater będzie nie wyjaśniony i nie będzie znaczył.

Jan Aleksander Król

Anna Kamieńska

CZYTANIE MIŁOSZA

Poeci, piszący u stóp oceanów,
nad którymi słowik kląska,
pamiętajcie o brudnych strumieniach.

Widzieliście, kąpani w igliwiu
szeregi ludzi z wiadrami na mrozie
kupującymi kawał wody z pompy.

Są obok pałaców z bawełny
cuchnące strugi rynsztoków,
dziecko goni błyszczący papierek.

Są kanały rur, z których tryska
woda na zupę z kartofli,
na kąpiel dla niemowlęcia w strupach.

Lecz my wiemy. I w upałach Florydy
marzy człowiek o płomieniu,
i nad obfitością źródeł dyszy pragnienie.

Dzień rozbłysły nad wschodnią półkulą,
jeży na drugiej lęki nocy samotnej,
rosną gdzieś cienie zwierząt i ludzi.

A wszędzie, gdzie zdaje się: oto czysta miłość,
czysta łza, wiedza czysta —
cena napoju okazuje się zbyt okrutna.

Poeci, schyleni nad wnętrzem kwiatu,
są wody, po których płynie i do was litość,
jak uczeń zbiega po stopniach Publicznej Biblioteki.

PIEŚŃ BIESIADNA

Miłości żywot nietrwały,
Osłabia i nuży ją wszystko.
Pióro piszące listy
nie łączy tak pewnie jak łyżka.

Wy w ludzkim koleżeństwie, wy
ze stołowni i garkuchni,
wy jedni mi zostali,
którzy z głodu mszy nie robicie·

Wy nie z miłości, rozumnie,
nie myśląc o końcu świata,
przyszliście czerpnąć pośpiesznie
zupy z miejskiego kotła.

Dziś więc, nim papierowy obiad
zmienimy na żywą miskę,
przypomnę wam w pieśni Teognisa,
poetę jadalnego stołu.

Przez ten czas i uczeń
niech serce odwróci od książki.
która trzyma na plecach
łagodnego kotlarza.

Cieszcie się, żyć będziemy!
z łaski krup i kartofli
trwać i rozmnażać się w przyszłość
naszym zadaniem i celem.

Z nas miasta naprawią bruki,
ścisną się rzeki cembrowiny
i popołudnia niedzielne
zaroją. Z nas będą sztuki·

I jeśli pamięć pokoleń
jest jaka – nazwę przekaże
wiek społecznego jadła
czasom złączonych narodów.

Lecz oto już Sprawiedliwość
dla większej wszystkich uciechy
wargi pokryła purpurą
i chmurę pary niesie.

Wy jedźcie niepokornie
i hardo, (bo się należy
miska gorącej zupy),
choćby kradzioną łyżką.

A ci, co najdłużej czekają,
niech się pocieszą, bo wszystko
nagrodzi im dobra kucharka
dając gąszcz z dna pożywny·

NASTĘPNY NUMER „W S I"

ukaże się z datą 29 lutego, jako nr 8-9 — powiększony. Obejmie on zagadnienia kultury, literatury i sztuki ludowej w aspekcie historycznym i współczesnym.

Między innymi:

W. NAŁKOWSKI — **POLEMIKI Z LUDOMANAMI**

W. ŁUKASZEWICZ — **PROTOKÓŁY Z PRZEDWOJENNYCH U. L.**

W. JAŻDŻYŃSKI — **GIMNAZJA CHŁOPSKIE**

R. LESIAKOWSKI — **ROK CHŁOPSKIEGO WYSIŁKU**

J. A. KRÓL — **ROGATKI LITERACKIE**

A. KAMIEŃSKA — **IDEOLOGIA „LUDU"**

S. GIEROWSKI — **WYSTAWA SZTUKI LUDOWEJ W KRAKOWIE**

Z. WISZNIEWSKI — **PURYFIKACJA POLSKIEJ PIEŚNI LUDOWEJ**

F. LEWANDOWSKI — **CZECZOT — „POETA LUDOWY"**

G. PRZECZEK — **ŚLĄSKI POETA JAN KUBISZ**

M. ŻMIGRODZKA — **CZEGO UCZY NOWELA POZYTYWISTYCZNA**

T. LANDECKI — **WIOSNA LUDÓW**

A. NOFER — L. BUDRECKI **WZNOWIENIA „POWROTÓW DO NATURY" (Kraszewski, Ramuz)**

S. PIĘTAK — **ŻYCIE I PRACA PISARZA**
CZESKA LITERATURA CHŁOPSKA
I INNE

Teodor Goździkiewicz

NA PASTWISKU*)

(n o w e l a)

Jasiu!

Ten dzieciak jest okropny, na prawdę. Nie można go obudzić. Po prostu kłoda. Wołaj i wołaj — nie pomaga nic. Ani się nie poruszy. Jak prawdziwe drewno. Nawet powieki nie dźwignie. Co za chłopak. Inne dzieci na pewno dawno już wstały i chodzą koło domu, a ten?

Wincenciakową bierze coś jak gniew. Nie może sobie dać rady z tym chłopakiem. Chciałaby, żeby krowy wygnał wcześniej i popasał, bo potem przyjdzie wojsko na ćwiczenia i trzeba będzie z bydłem uciekać. Na łąkach nic nie może być wtedy, kiedy strzelają. A tymczasem Jasio nie chce wstać — ba, trudno go zbudzić.

Nie ma go przecież kto wyręczyć. Wincenciak ze starszym synem pojechali o północku do młyna zrobić trochę mąki. Tak o tej wojnie ludzie pogadują, więc nie zaszkodzi, jeśli w domu będzie jaki taki zapas. Ona znów musi być w obejściu. Więc ani przecież sama, ani tamci tego bydła popaść nie mogą.

Ponawia zatem swoj matczyny rozkaz:

— Jasiu, wstaj! — woła i szarpie go za chudą rękę wychyloną spod pierzyny.

Wołanie Wincenciakowej nie odnosi żadnego skutku. Jasiu zmienił położenie, pokręcił głową wcierając ją troskliwie w poduszkę i wyprostował rękę. Wyrzucił ją w powietrze — opadła na pierzynę i wysterczyła poza deskę. Zwisnęło ku dołowi pięć strużek opalonych palców.

Ale właściwie Jasio już nie spał, już wszystko słyszał. Tylko jakaś ogromna niemoc, jakiś ciężki bezwład trzymał go na poduszce. Matka na próżno krzyczy, na próżno narzeka. Dawno by wstał, żeby tylko mógł unieść głowę.

Wincenciakowa postanawia użyć ostatniego argumentu. Szarpie go energicznie za głowę i opowiada:

— Jasiu, wstawaj — wstawaj!... Wczoraj po południu, jak byłeś u ciotki, to żołnierze znowu się ćwiczyli... Strzelali aż strach... Tam na pastwisku pełno gilz... Wstawaj! Jak się spóźnisz, to ci jeszcze Franek Kmiecika wszystkie pozbiera...

Ale Jasiu w myśli pogardliwie wydyma wargi: wielka mi rzecz gilzy!... Też matka opowiada!... Ma ich już przeszło dwieście, a jak tak dalej pójdzie, to niedługo uzbiera pięćset. Żołnierze ćwiczą się codzień i strzelają — na prawdę strzelają. Samych tych z czerwonymi prążkami ma... zaraz — ile to? Niech sobie Franek bierze — on mu nie będzie żałował...

Chociaż — uprzytamnia sobie Jasio jego chytre czarne oczy myszkujące po murawie i chwytne ręce wyłapujące z trawy tłuste żółte wałki gilz — i budzi się zupełnie.

Nie, do tego nie może dojść.

Zeszedł z łóżka, ubrał się powoli sapiąc przy zapinaniu guzików. Nie chcą się zupełnie zapinać. Mył się nie będzie. Ta woda jest ogromnie zimna. Umyje się po przygnaniu krów do domu. Niedługo i tak musi zejść z pastwiska. I tak go żołnierze spędzą około godziny siódmej.

Przyszłą z dworu Wincenciakowa.

— No, nareszcie żeś się zwlókł! — wyraziła opryskliwie swoją radość.

Na świecie jest jeszcze zupełnie ciemno. Nad borem tylko od strony wschodniej tkwi szarosrebrne światło jakby daleki odblask powierzchni przewróconego na ziemię lustra. Krowy idą powoli, jakby niechętnie, i gubią po drodze szarozielone placki parującego nawozu.

— Chleba ci dać? — woła za nim matka.

— Nie, nie chce mi się jeść — odpowiada sennym jeszcze głosem.

— Słuchaj, weź trepki, bo zimno! — dodaje jeszcze troskliwie.

Nie — nie weźmie i trepków. Teraz się przydadzą, ale później się ociepli, to tylko z nimi bieda. Nieś je w ręce do domu. A jakby — nie daj Boże — zapomniał z sobą wziąć z pastwiska, to trzeba zapychać po nie drugi raz. Nie ma głupich.

Na pastwisku jest mokro od rosy. I zimno. Szkoda — terazby te trepki... — myśli dość żałośnie. Krowy nie chcą jeść. Nadmiar rosy, chłód obrzydza im trawę. Idą naprzód, powąchują — przechodzą od brzega do brzega pastwiska.

Jasiu je zawraca, pokrzykuje zachęcająco, ale to nie wiele pomaga. Chodzą i chodzą jak głupie. Ponieważ dokucza mu zimno w nogi, więc Jasiu podskakuje, przysiada, jednak nogi mu sczerwieniały, a na pęknięciach szczypią i palą. Zimno mu na prawdę i Jasiu wypatruje słońca.

Ale do niego chyba jeszcze daleko. Pas jasności się coprawda rozszerzył za borem, jakby zgęstniał i bardziej zsiwiał, ale do wschodu słońca jeszcze kawał czasu. Jasiu się dobrze na tym zna. Zimno na prawdę.

Aha — jest rada. Oto Bielicha w swojej wędrówce po pastwisku przystanęła, podciągnęła zadnie nogi do przednich, wygięła grzbiet w foremny pałąk, wyprostowała ogon i oddała mocz zgniłozieloną strugą. Strzyknęła kilka razy resztkami płynu na zakończenie, kaszlnęła, wyprostowała się i poszła dalej powąchując trawę.

Jasio natychmiast podszedł i stanął w ciepłej kałuży. Tak to co innego.

Krowy się nareszcie zatrzymały i zaczynają pojadać bez przekonania, a Jasiu patrzy dokoła. Tak wszystko jest jak było. I rów obrośnięty zrudziałą olszyną i nawet Kmiecika siewnik na polu. Stoi tak od wczoraj rana. Widocznie Kmiecik nie zdążył wsiać wszystkiego. Jasiu patrzy po nim i widzi, że tam, gdzie rdza nie mogła dać rady farbie, tam przeświecają zielone, zakurzone plamy.

*) Z tomu „Znaki czasu", który się ukaże nakładem Spółdzielni Wyd. „Książka".

Jasiu wypędził też bydło wcześniej i już pasł, kiedy właśnie przejeżdżał koło niego Kmiecik z siewnikiem na pole.

— Marcinie, co wy już będziecie siać? — zawołał.

— Tak, będę — odpowiada Kmiecik.

— A co? — dopytywał dalej Jasio rad, że ma z kim parę słów zamienić.

— Żyto z wyką. —

— A nie zawcześnie?

— Nie...

I widocznie Kmiecik nie skończył siewu, bo zaraz po wschodzie słońca przeszło dużo żołnierzy, zaczęła się strzelanina, więc i on i Kmiecik musieli zejść z pola. Potem Jasio poszedł za bór do ciotki po olęgałki i nie wie, co się dalej działo.

Stoi oto w kałuży, grzeje nogi i myśli o tych wczorajszych olęgałkach, ale krowy nie dają mu długo korzystać z tego własnego dobrodziejstwa. Podeszły do tamtego brzegu pastwiska i zezują ku Kmiecikowej seradeli. Wiadomo, co z tego będzie — szkoda. Opuszcza Jasio swoje stanowisko nie bez żalu z okrzykiem protestu — „a gdzie!" i zagradza drogę. On woli wcześniej tej szkodzie zapobiec. Potem to są tylko wymówki i narzekania: a spasione, a krzywda, a jak to pilnują... a cudze...

Przystanął nad zdeptaną miedzą i stwierdził, że mu w nogi jeszcze zimniej niż przedtem. Rozgrzały się w krowim moczu i teraz są wrażliwsze na chłód jeszcze bardziej. Trzeba było inaczej z tymi trepkami ...Oj szkoda!

Wrócił na dawne miejsce, ale było zaledwie trochę ciepło. Uciekło gdzieś nie wiadomo kiedy. Postał więc krótko i stwierdziwszy, że się dłużej nie opłaci, opuścił to miejsce. Poszedł nad rów przy olszynie. Tu przed dwoma laty usypana burta nie była tak obrośniętą trawą, rosy było mniej, tu i owdzie przeglądająca golazienka piasku była dość sucha i ciepła.

Postał bez ruchu kilka chwil na jednej nodze — wstrząsnął się z zimna. Przeszły go dreszcze.

— Kiedyż to słońce wzejdzie? — zapytał w myśli samego siebie.

A słońce nie bardzo chciało wstawać. Rozjaśniło się tak powoli jak nigdy: jakby światło ktoś umyślnie dusił. Na wschodzie pokazała się żółtawa prążka i zdawała się nic nie rosnąć. Nawet niby malała, bo od boru zaczęły parować mgły, rosły ku górze, rozszerzały się w równy, gęsty tuman i zatapiały dolne miejsca ziemi jakby w rzadkiej, roztrzepanej śmietanie.

Nie — tego słońca już się chyba nie doczeka. Jeśli będzie stał — zmarznie.

Ruszył wolno po swoich miejscach pastwiska. Tu tydzień temu robił miotłę. Leżą sprasowane siedzeniem odarte z mietlanek liście. Są mokre od rosy i burawe od przeschnięcia. Matka się wtedy z tej miotły ogromnie ucieszyła — zrobił jej prawdziwą niespodziankę.

Tu z Frankiem przedwczoraj grali w bierki. Musieli je sobie strugać kozikami na poczekaniu, bo żaden z nich nie miał starych. Dawno pogubili i, jak ich naszła chęć zagrania, musieli robić nowe. Znać wysiedziane w trawie ślady i ogorzałe już od słońca strużyny pozwijane jak rogaliki.

A tu... aha! Osy!... Mają gniazdo po tamtej stronie burty. Wejście było ukryte w niedużym krzaczku jeżyn. Ale z tego krzaczka nie zostało ani śladu. Roztrzaskali je kamieniami, piorąc na oślep w wylatujące z ziemi owady.

Osy odkrył Franek. Usiadł sobie kiedyś na burcie, a tu go osa jak nie utnie!... w ucho! Spadła gdzieś z powietrza. No, wiadomo — jeśli osa tak atakuje, to gniazdo jest gdzieś bardzo blisko. Póty zachodzili, póty podpatrywali, aż wykryli. Nie było znowu tak bardzo trudno. Żółte plamki lecących owadów, jak półwidzialne pociski, obciążone zdobyczą kierowały się stale w jedną stronę. Siadały na ziemi i nikły między kilku gałązkami jeżyny. Po zachodzie słońca, kiedy lot ustał, znaleźli miejsce: mały otworek wielkości mysiej dziurki.

Odtąd rozpoczęła się walka: uparta, zajadła, ciągła. Czasem atakowali chłopcy. Nakładali kapoty na głowy, brali w rękę kamienie, podchodzili i rzucali w wylot gniazda. Podrażnione hukiem osy wysypywały się rojem i rozpoczynała się gonitwa. Około głowy każdego z chłopców wirowało stado rozjadłych owadów, uderzających z gniewem w głowę ubezpieczoną kapotą.

Osy zrobiły się złe i napastliwe. Nacierały na każdego. Nie pozwoliły przejść nawet krowie: zaatakowana podnosiła głowę, fukała ze złości, zadzierała ogon do góry i puszczała się w bieg na oślep po pastwisku, a potem buchała w olszyny, ocierała gwałtownie boki o gałęzie i liście i oddalając się coraz bardziej w ten sposób pozbywała się natrętów.

Teraz gniazdo było ciche, uspokojone i bezpieczne. Bezładna kupka ziemi leżała na około wylotu mokra od rosy. Jasio przykucnął i patrzył pilnie w ciemny otwór. Chyba pusto — nie, jest jedna. Siedzi w trawie tuż blisko jamki. Wygląda na to, jakby nie mogła wejść, jakby nie zdążyła wsunąć się do gniazda, bo tu ją chłód złapał i unieruchomił. Pewnie już martwa?...

Ale nie. Jasio trącił ją kijem — żywa. Zatrzepotała niemrawo skrzydłami, przewróciła się na bok, wygięła w łuk i zafalowała prążkowanym odwłokiem: naprzód i w tył — naprzód i w tył. Tam ma żądło — pomyślał Jasio z ukrytą obawą i przycisnął kijem osę do ziemi. Spomiędzy dwu żółtawych klapek błysnęła ostra, czarna, błyszcząca igiełka.

— Ech, żądło — wyseplenił z pasją Jasio i przycisnął kij do ziemi jeszcze mocniej. Korpus osy pękł, wyszła z niego wilgotna biała masa i przylepiła się do kija.

Podniósł Jasio zdobycz do góry i obserwował, co się z osą dzieje. Ruszała niedołężnie nogami i dwiema nożycami szczęk. Żyła. Tylko odwłok wgnieciony do środka pozostał martwy z czubkiem wysuniętego żądła.

— Ech, mam cię!...

Nagle tknięty jakąś ukrytą myślą podniósł oczy do góry. Zatrząsł się. No tak — —wszystkie krowy w szkodzie — wszystkie krowy w seradeli Kmiecika. Jedzą pilnie, łapczywie, jakby sobie w swoich krowich mózgach zdawały sprawę z przewinienia i tymczasowości całej uciechy. Skoczył Jasio jak podrzucony sprężyną, dobiegł i zaczął trzaskać kijem skrzesowate boki przestępców, aż znów się znalazły na środku pastwy dojadając wiszące u pyska zielone wiechcie nielegalnej zdobyczy.

Stanął z boku zdyszany i zły. Że też na chwilę nawet nie można zdjąć z nich oczu — z tych diabłów: zaraz lezą w szkodę. Spojrzał po świecie. Było już zupełnie widno. Mgły opadły. Zginęły gdzieś. Szarość ros zatarła się. Za borem rumieniła się góra brzasku: stamtąd wyjdzie słońce niezadługo i może będzie ciepło. Czas najwyższy. Dosyć już zmarzł.

Gdy tak myślał, usłyszał od strony granicy, gdzieś z bardzo daleka, tam gdzieś od Koniowodów, gdzie tydzień temu szło tyle wojska i wozów — usłyszał od tej strony daleki strzał armatni. Pojedyńczy, sam jeden. I kiedy nawet nie żdał sobie sprawy dobrze z tego, co się stało, zgrzytnęły trzy ostre salwy maszynowego karabina, a po nich długa seria ciągłego ognia, jakby wypruta z długiego szwa dźwięków.

I znowu karabin maszynowy zajazgotał — zły, kąśliwy, pienisty. Ale jakby inny. Ech, chyba mu się zdaje. Kucnął przy brzegu pastwiska od strony seradeli Kmiecika i słuchał przepierania się dźwięków. Raz strzały było słychać pojedyncze, oderwane, rzadkie, jakby kijem uderzał we wrota stodoły, raz znów całą ich kotłowaninę: gęstą, gwałtowną, zajadłą.

— Pewnie się znowu gdzieś ćwiczą, — tym razem nie u nas... Ale tam musi być gilz, no... — przyszła mu zawistna myśl do głowy.

Gdy tak myślał i słuchał strzałów upłynęło sporo czasu i słońce wzeszło. Zawisło na borem czerwonym krążkiem bezpromiennym. Mgły znikły. Od drzew, od olszyn położyły się długie, granatowe cienie, ale na miejscach oświetlonych rozpostarła się żółta, mdła jasność; zaczynało być cokolwiek cieplej.

*

Tam zaraz za Koniowodami ziemia podnosiła się ku górze. Łagodny łuk wzgórza wypinał się szczytem ku niebu i opadał niskimi brzegami w zieleni lasków, pastwisk i pól. Przez środek jego, jak przez grzbiet bochenka chleba przechodziła biała krajka szosy. Przy jej bokach rosły rzadkie, nieduże drzewka posadzone niedawno.

Jasio ma to wszystko przed swoimi oczyma, kiedy tak patrzy przed siebie, grzejąc plecy we wznoszącym się coraz wyżej słońcu wrześniowym. Widać wszystko ogromnie dokładnie. Ma wrażenie, że to obrazek. Kiedy tamtędy szedł na odpust zeszłego roku i w tym, i kiedy tam był — zdawało mu się, że wszystko jakby inaczej wyglądało. Po prostu odkrywał szczegół po szczególe — bardzo zwyczajnie. Ale tu stąd wszystko mu się rzucało razem w oczy: skupione, obramione i linią nieba i linią ziemi, i stąd jakby obce i jakby nieznane. Niby wyrwane z obrazka snu, niby wymyślone pod czyjeś opowiadanie.

Ta szosa taka dziwna — prawdziwa wstążka. A te drzewka niby szypuły zielone powtykane po brzegach dla umajenia wstążki. Jasio tam nieraz lubi patrzeć. Tam się zawsze coś dzieje. Albo jedzie wóz, albo przemyka rower. Albo pcha się powolnym marszem człowiek.

O, jakby teraz: zza grzbietu wyniosłości wychylił się samochód. Światło igra z jego kolorową pokrywą, a on pędzi — ruch... kurz...

O, drugi prawie za nim... Ciekawe — czy drugi dogoni pierwszy, czy też ten ucieknie?

O, trzeci! Ale pędzą!... I ten kurz...

O, czwarty!...

Piąty!...

Ale szkoda liczyć i Jasio już nie liczy. Przewaliło się ich tyle. I ciężarowe i osobowe — wszystko to przejechało grzbiet, opadło w dół i pomknęło w stronę miasta. Co to może być? A swoją drogą, jak to strzelają!... Armat tu blisko nie słychać, tylko karabiny, ale gdzieś daleko — tam ku południowi, to aż się ziemia trzęsie.

To się muszą ćwiczyć!...

Nasuwają się Jasiowi różne myśli. Siedzi plecami do słońca i grzeje się. Czasem odwraca głowę, aby skontrolować czy krowy dobrze jedzą. Tak — jedzą. Więc patrzy znowu na szosę.

Coś tam się musi dziać. Bo oto teraz zza wzgórza wychylają się jeden za drugim wozy i pędzą w dół na złamanie karku. Jest ich dużo, nawet Jasio nie liczy. Zsuwają się ruchomym sznurem ku dołowi — w ruchu i w kurzu.

Zagrało mocnym, równym brzękiem w powietrzu: oho, samoloty. Jasio zadziera brodę, zmruża oczy i wolno prowadzi nimi po niebie. Trudno widzieć. Góra jest lekko jakby przydymiona i samoloty giną w tym tumanie. Jasio słyszy je bardzo dobrze, rozumie, że przybliżają się dość szybko, ale nie widzi nic.

Ma wrażenie, że lecą ku niemu. Chyba tak. Nieraz tędy przelatywały, ale tak nisko, że prawie wszystko widział. I znaki i ludzi też siedzących w kratkach z prętów. Te nie — kryją się gdzieś wysoko i huczą jakby się kołysały.

Gdy tak myśli, widzi, że w pewnym miejscu na niebie zaczęła się pleść podwójna biała linia, jakby ślad po kołach. Linie te były równe, proste i bielusieńkie niby rysowane mlekiem. Zawisły w przestrzeni jakimś nieodgadnionym znakiem.

Grzmot samolotów oddalił się i ścichł, ale nie zamilknął. Zdawało się Jasiowi, że poszedł bokiem, obkołował i prawie zacichł poza borem. Nie zdążył jeszcze Jasiu zdjąć oczu z nieba, gdy dźwiek motorów znowu wzmógł się i przybliżył. Szły teraz jakby niżej, warczały mocniej i wyraźniej. Tak — — miał rację. Lecą prawie z boku i widać je: trzy... sześć...

Równe, czarne, huczące. Nadleciały wszystkie sześć nad niego — wysokie, przemykające w tumanie niby za gazową przesłoną — i zaczęły znowu snuć ową podwójną, białą linię. Przekreślała ona tamtą pierwszą tak, że na niebie utworzył się bielusieńki, foremny krzyż.

Samoloty odleciały na północ, zniżyły się i znikły w dali dla oczu, ale nie znikły dla ucha. Słychać było wciąż ich uparty, falujący głos — tak, jakby leciały dalekim i wysokim kołem. Naprawdę obkołowały. Widać: lecą teraz od tamtego końca Koniowodów ich zgarbione skrzydlate sylwetki. Widać je bardzo dobrze. Ciekawość i niepokój trapi Jasia męczącym uczuciem mdłości.

Co to wszystko być może? Co to znaczy? Ćwiczenia jakie czy...

Nie skończył swojej myśli niepokojącej. Gdy tak patrzył w górę po czarnych kadłubach rozkrzyżowanych na mglistym niebie, zdawało mu się, że coś tam pod nimi błysnęło, coś zawyło i — Jezus, Maria! — rozdarła się ziemia.... Ogień, huk, dym i sto głosów różnych dzikiego grania zawyło gdzieś nad nim i koło niego w jednej chwili. Przygniotło Jasia do ziemi: struchlał. Trzy czarne kłęby dymu zawisły w powietrzu, a między nimi stał samotny, opuszczony siewnik Kmiecika. Trzy razy raz po razu! Potem świat ogarnęła męcząca cisza i tylko w niej słychać było oddalające się, równomierne huczenie samolotów.

O, Jasio teraz wie — to jest wojna. Na pewno. Te samoloty, to samoloty niemieckie. Tyle się przecież nasłuchał w szkole przed wakacjami!... Więc jednak... Ale te wybuchy! Może to gazy? Jasio jest zgnieciony hukiem, wstrząsem, niespodzianką.

Krowy zbiły się w stadko na środku pastwiska. Nie jadły. Jasio pomny przedwakacyjnych w szkole pouczeń wczołgał się do rowu i przykucnął w olszynowym krzaku. Czas był najwyższy, gdyż brzęk samolotów znowu się przybliżał.

Ostrożnie wytknął głowę i spojrzał po niebie. Leciały teraz nisko tylko trzy. Ale jeszcze niżej niż przedtem. Wsunął się szybko w gąszcz i tuż zaraz powtórzyły się te same huki okropne, co przed chwilą. Huki były tak silne, że wstrząsały nim całym. Skurczył się, zmalał, głowę przycisnął do ziemi i leżał jak martwy. Ledwie oddychał. Język mu zesztywniał, w ustach wyschło i serce omal nie urwało się, tak biło mocno.

Nie zdążył nawet pomyśleć, co robić, jak się ratować, gdy znowu wybuchły trzy huki. Ryk samolotów miażdżył Jasia, odbierał mu wszelkie czucie. Już nie odlatywały daleko. Latały w pobliżu, szerokim kołem zakręcały niby po niedalekiej linii horyzontu, wracały i waliły bomby raz za razem w samotny, opuszczony siewnik Kmiecika.

Te jego krowy. Stoją ogłupiałe, zastrachane, bezradne. Obie stare zwróciły się łbami do siebie i trwają bezczynnie. Tworzą trójkąt. Między nie wszedł cielak. Wcisnął ogon pod siebie, jak pies przed biciem i stoi bezradny, cielęcy. Jasiowi tych krów żal. Nieraz, gdy mu w szkodę lezą i nie słuchają jego ostrzegawczych krzyków pasterza, Jasio im życzy najgorszego: posyła do diabła i — jeśli nie ma nikogo w pobliżu — nasyła na nich cholerę. Do tego wali kijem, jeśli mu się pozwolą dogonić. Ale teraz ich spuszczone łby, ich smutne miny, ich zmechacona od dreszczów strachu skóra — wzbudza w Jasiu uczucie litości. Biedne krowy!...

Gdy się tak roztkliwia nad nimi ułamkami zdolności swoich odczuć — wybucha zupełnie niespodzianie ostry brzęk motoru na zakręcie, następnie głos ten cokolwiek nacicha i jednocześnie drzyzga seria z karabinu maszynowego. Jasio widzi: Bielicha wstrząsa się gwałtownie niby od niespodzianego konnięcia i pada na cztery nogi — najpierw w klęk, a później zupełnie na pysk. Następnie po małej chwili wali się na lewy bok, grzbietem do niego. Widać przez jakiś czas niezrozumiałe ruchy łba, powolne ale równe drgnięcia prawego biodra, a potem wszystko zamiera, uspokaja się.

Co się tej Bielisze stało?

Poderwało się serce w nagłym skurczu żalu, Jasiu wybiegł z olszyny, przeciął połowę pastwiska chyłkiem, dopadł krowy, oparł ręce na jej boku. Dłonie mu się zsunęły po ciepłej ale martwej skórze. Bielicha nie żyła. Pod sierścią na piersi rosła czerwona łata krwi. Oko było wywalone, za mgłą, pod rzęsą jaśniał kąt odkrytego białka.

Ale nie czas na żale, bo oto słychać falujące poryki motorów. Samoloty nadlatują.

Więc Jasio odrywa się od zabitej krowy i

chyłkiem zawraca w olszynę. Wpadł w krzaki, ale nie schował się. Został zauważony Lotnicy widzieli dokładnie człowieka kryjącego się w porośniętym rowie. Obniżyli lot, zastrzelili pozostałe dwie sztuki bydła i zapolowali na człowieka. W trójkę przeciągali nad pastwiskiem, normowali lot wzdłuż rowu, przechylali burtę samolotu i cięli krzaki długimi seriami strzałów. Leciały z olszyn gałęzie i liście, po drugiej stronie rowu wykwitały wiązki siwego pyłu wzniecane pociskami uderzającymi w przeciwległą burtę.

Jasio skulił się w rowie z przerażenia. Wieloraki świst pocisków drążących nad nim powietrze przykuwał go do ziemi. Bał się oddychać i patrzeć. W pewnej chwili odczuł cios i ból w plecach, jakby go ktoś zdzielił kijem. Działając według praw ciemnego instynktu poderwał się z ziemi i chciał z cienia krzaków wybiec przed siebie: na pastwisko, w świat, do słońca. Ale tylko uniósł się do połowy ciała i upadł na twarz wyciągając przed siebie ręce — do światła.

* * *

Było może koło godziny dziesiątej przed południem, kiedy samoloty odleciały, uciszyło się trochę i Wincenciakowa wyszła z piwnicy na świat. Tkwiła w obejściu sama. Nie przyjechał stary z młyna ze starszym chłopakiem, nie przygnał krów Jasiu. Więc wybiegła z domu na chybcika i naprzełaj przez cudze pola zdążała do pastwisk. Minęła nietknięty siewnik Kmiecika otoczony lejami od bomb, znalazła ze zgrozą wszystkie zabite krowy. Jasia nie było. Trwoga jej wzrosła.

Obejrzała się wokoło bezradnie.

— Jasiu!

Odpowiedziała jej martwa cisza. Martwa po tylu bukach i strzałach.

Gdzie on może być? Wszędzie przecież pusto. Ruszyła w stronę krzaków rosnących nad rowem. I znów stanęła — znów woła:

— Jasiu!

Poszła wzdłuż równego szpaleru młodych olszyn i tu go znalazła. Spostrzegła najpierw wysterczającą z krzaka rękę, z której spływały ku dołowi martwe strużki sinych palców.

Teodor Goździkiewicz

Tadeusz Drewnowski

WYROK ZAGŁADY NA JERYCHO



Tadeusz Breza

„A tak posłał Jozue, syn Nunów, z Syttym dwu szpiegów potajemnie mówiąc: Idźcie, wypatrujcie ziemię i Jerycho".

Z Ksiąg Jozuego, rozdz. IV.

Czytając Mury Jerycha [1] i jednocześnie zapoznając się z krytykami poświęconymi tej książce, dochodzę do przekonania, że sprzeczności u recenzentów są wynikiem bogactwa i zawiłości tekstu. Rozbieżne są nawet sądy recenzentów, posługujących się tym samym kodeksem krytycznym.

Krytycy operujący metodą socjologiczną uważają za swoje zadanie zorientować wszystkie elementy dzieła literackiego wobec rzeczywistych procesów epoki, procesów ekonomicznych, społecznych, politycznych, kulturalnych, artystycznych. Krytyk chce odczytać sens książki w danym historycznym kontekście.

Jan Kott pokazał na przykładzie „Lalki" czujność pisarza realisty. Symptomy wszystkich naczelnych przemian znalazły się w tej wielkiej powieści o specyficznie polskim, kapryśnym kapitaliźmie.

Ale jednocześnie ten sam krytyk z entuzjazmem pisze, że „Mury Jerycha sięgnęły najdalej i najgłębiej w istotną treść polskiego faszyzmu" [2]).

Melania Kierczyńska kontruje: „Mury Jerycha" nie są powieścią polityczną, nie mówią niemal nic o faszyźmie" [3]).

Dyskusja nad oceną Murów Jerycha jest otwarta, gdyż krytyka nie wyszła poza te skrajne sformułowania. Być może, więcej materiału dyskusyjnego dostarczą następne tomy zapowiedzianej trylogii Brezy. Ale już w przededniu ukazania się drugiego jej tomu, nasuwa się wiele interpretatorskich koncepcji.

Jednym z supłów problematyki krytycznej jest zagadnienie mowy pozornie zależnej. Rozwiązał go pieczołowicie na przykładzie „Czarnych skrzydeł" Kadena Dawid Hopensztand. Ze względu na mikroskopijne rozmiary socjologicznego dorobku krytycznego obowiązuje pietyzm wobec tych pierwszych, nowatorskich pomysłów. Krytyka zaniedbała sprawę mowy pozornie zależnej w kontekście Murów Jerycha, maniery pisarskiej, dość konsekwentnie przez Brezę stosowanej.

Kazimierz Wyka w jednym z rozdziałków milowej recenzji „Powieść o polityce" [4]), odprawił egzorcyzmy nad Murami Jerycha: to nie Kaden! Porównanie z Kadenem ograniczył Wyka do zagadnienia osób — mitów u Kadena, i idiograficznej metody w traktowaniu postaci powieściowych przez Brezę.

Zlekceważono porównanie najbardziej zewnętrznego oblicza prozy Brezy i Kadena, zaniedbano analizę pouczających różnic w wyglądzie i funkcji mowy pozornie zależnej u obydwu pisarzy.

Świat w książce Brezy jest widziany kolejno oczyma różnych postaci. Zniknął wyodrębniony, samodzielny komentarz autorski — bezpośredni wykładnik poglądu autora na świat.

Fakty jak gdyby przemawiają same za siebie. Wszystkie wydarzenia przechodzą przez pryzmat sądów postaci. Na tkankę powieściową składa się obszerny dialog i odkryty wewnętrzny monolog. Dialogi potwierdzają starą regułę: mowę dano człowiekowi dla ukrywania myśli. Monologi zaś odsłaniają najskrytsze refleksje, maskowane ambicje i pragnienia. Naturalnie, napotyka się często w tekście zdanie, czy grupę bezpańskich zdań, ale nie składają się one w zarys przynajmniej autorskiego komentarza.

Pisarz cytuje kreowane przez siebie postaci powieściowe, nie unika rozmów, nie cenzuruje ich, jak Stendhal. Pamiętamy usprawiedliwienia Stendhala z pierwszych stronic „Czerwonego i Czarnego": „Ale mimo, że zamierzam przez dwieście stronic mówić o prowincji, nie posunę się do tego okrucieństwa, aby wam kazać słuchać mdłych i rozwlekłych rozmów". Poziom prowincji francuskiej nie wiele ustępował klasie intelektualnej ministrów sanacyjnych. Przypomnę prymitywny język i karłowate myśli w „Strzępach meldunków".

Ale proza Brezy to nie kadenowska, prymitywna odmiana mowy pozornie zależnej, która niszczy najbardziej pasjonującą w utworze specyficzną formę literacką — wyraz doświadczenia społecznego jednostki, atomizuje i zaciemnia rzeczywistość. Poza chwytem pisarskim nie ukrywa się bezradny człowiek, zdezorientowany pisarz, sceptyczny myśliciel.

Komentarz autorski zaaplikował Breza samym postaciom podwyższając tym sposobem poziom dialogów i monologów swej powieści. Autor nie ograniczył się, jak Kaden, do nadania tylko pewnej składniowej i leksykalnej poprawności. Zamienił banał na intelektualną niespodziankę i rewelację. Autor, wydaje się, jest w posiadaniu dokładnych aktów sprawy, ale związany słowem, nie może z nich bezpośrednio korzystać. Wiedza wprost nie wyjawiana pozwala jednak Brezie uporządkować disiecta membra zewnętrznego świata według pewnego logicznego systemu. Wspólny mianownik rozmów i wyznań stanowi subtelna satyra. Tylko pozornie fakty i zdania są sobie pozostawione. A rzeczywiście czuwa za nimi interpretator, intelektualista, który winduje je na wysokie myślowe piętro, czuwa satyryk, który zestawia paradoksy, tworzy alegorie i czyni aluzje, („czy nie za poważna rozmowa na paradoksy", „i wciąż te alegorie").

Postaci Brezy cierpią na przerosty krytycyzmu. Przy każdej okazji nawzajem się kompromitują. Satyra nie ogranicza się wyłącznie do wewnętrznej wymowy tekstu, do kunsztownej gry sytuacji, opinii i słów. Wiedza czytelnika, oddzielonego od opisywanych lat przegrodą wojny, podnosi niektóre partie książki do miary **tragicznej farsy**. Posłuchajmy deklamacji ministra Jaszczy:

„...Dokucza mi ta myśl o waszym strachu. Noc w noc tysiące ludzi trapi się. Niepotrzebnie. Jesteśmy możliwie **na najlepszej drodze. Do pracy dla każdego, do praw dla wszystkich**, do słusznej dumy ze swego narodu. Niezadługo jedno pozostanie, żeby bać się — śmierci. Tej nie zwyciężymy! Ale, tak jak i jej, podobnie **naszego kraju nic nie zwycięży**. Więc mogą państwo spać spokojnie".

Książka Brezy przedstawia ludzi z zamkniętego kręgu sanacji i oeneru. Stosunki w obrębie murów sanacyjno-oenerowskiego getta układają się na zasadzie naturalnych kontaktów, bądź „zawodowych", jak w wypadku zakonspirowanego pogrzebu króla Stanisława, bądź organizacyjnych (spotkania narodowców u Medekszanki), czy towarzyskich (wielkie przyjęcie u Sztemlerów). Jelski jest postacią, która pojawia się we wszystkich trzech typach związków. Jelski jest pierwszą wprowadzoną do powieści osobą i od niego zaczyna się sieć normalnych znajomości w obrębie światka Murów Jerycha. Osoby, które przygodnie pojawiają się w powieści, np. murarze w scenie pogrzebu królewskiego, są zbywane jednym słowem. Wewnętrzne powiązania wykreślają granice ekskluzywnego środowiska przedstawianego w powieści. Także zainteresowania reprezentantów określonych formacji społecznych w pewnym miejscu gwałtownie się załamują, wyznaczając zasięg spraw powieściowych. Autor nie ingeruje widocznie w organizowanie fabuły powieściowej; ona układa się naturalnie, określona splotem rzeczywistych międzyludzkich stosunków oraz zainteresowań społecznych danego środowiska. Dlatego nigdy nie przenosi się objektywu pisarskiego poza mury, nie pozbawia się prawa głosu postaci powieściowych. Osoby są tylko interpretatorami i glossatorami skądinąd znanej rzeczywistości; nie potrzebują się wzajemnie informować o tym, o czym doskonale wiedzą. Czytelnik także wie z własnych przeżyć i żywego podręcznika historii.

Mury otaczają sanacyjno-oenerowskie Jerycho. Krytykę przeprowadza autor w ich obrębie, przy pomocy mieszkańców Jerycha, ich wzajemnych niesnasek, starć interesów, obłudnej frazeologii. Mury Jerycha są **immanentną krytyką** sanacji i oeneru w ostatnich przedwojennych latach.

Okazuje się, że zbyt wiele powiedziano mówiąc o Murach Jerycha jako powieści o polskim faszyźmie (Kott). Wiele elementarnych zjawisk, podstawowych faktów faszyzacji kraju, znalazło się poza tekstem powieści. Zestawiła je w dyskusji M. Kierczyńska: „trzymanie za mordę", sejm mianowańców, dyktatura Rydza, dwanaście tysięcy więźniów politycznych, śruba podatkowa, walka z głodem i bezrobociem i tak dalej i tak dalej. Wymienione zjawiska nie dotyczyły przedstawionych przez Brezę ludzi, oni — o ich istnieniu nie chcieli wiedzieć.

Zarzuty Kierczyńskiej streszcza poniższy fragment jej recenzji (mowa o aresztowaniach komunistów, łapaniu ich do więzień, czy na stryczek): „Za co? Za gwazdranie po notesach, za druczki, za te wszystkie kombinacje pozbawione pełnego ludzkiego istnienia?" „Istotnie trzeba aż takiej **próżni społecznej**, jaka cechuje Mury Jerycha — komentuje recenzentka — żeby stonować nieco groteskowość tego traktowania przez szefa defensywy na obszary wschodnie walki komunistów jako „gwazdranie po notesach", jako „sprawy oderwane".

Wydaje się, że próżnia społeczna „Murów Jerycha", w której istotnie zawisła powieściowa sanacja i oener jest literacką ilustracją dla **rzeczywistego osamotnienia** tych formacji. Ukazanie jej w tak przejmujący sposób było możliwe tylko przy spojrzeniu **od wewnątrz**, przy zastosowanej przez Brezę **specjalnej technice narracyjnej**. I o tej artystycznej poprawce do przedstawianej rzeczywistości nie wolno krytykom zapominać pod groźbą zarzutów nieznajomości alfabetu znaków literackich. Kierczyńska upraszcza sprawę mówiąc o braku tych, a tych faktów w powieści i nie starając się wykryć przyczyn takiego stanu rzeczy.

Po wtóre — Kierczyńska częściowo przeoczyła fakt, że komunistyczną robotę opisuje wprawdzie dobrze w niej zorientowany „kiper od komunistów" ale jednocześnie człowiek ślepy na społeczną genealogię komunizmu i jego sens. „...Irzykowski — pisze D. Hopensztand — załamując ręce nad prymitywizmem Kadena, że Coeura wyrychtował na diabła ludowego, całkowicie przeoczył fakt, że to masażystka Knote tak widzi i opisuje reprezentanta obcego kapitału — a nie Kaden".

I znów kluczem do słusznej interpretacji było zagadnienie t. zw. mowy pozornie zależnej, swoistego **stopu sprawozdawczego empiryzmu i subtelnej immanentnej krytyki autorskiej**.

Są i inne artystyczne konsekwencje techniki powieściowej stosowanej przez Brezę, które jednak wymagają szerszych uzasadnień.

Notuję je tylko: t. zw. prawo dwóch osób na widowni, najbardziej sprzyjającego układu dla ekshibicjonistycznych rozmów, czas zwolniony (w partiach przedstawianych omal bez żadnych skrótów, czy nawrotów czasowych), żółwiowa akcja, statyczna kompozycja etc.

W ramach zakreślonej pisarskiej koncepcji powieści Brezy zmieściło się jednak wiele **wiedzy historycznej**. Zegzemplifikowano dla sanacyjnej Polski typowe procesy. „Sanacja to była jakaś **wstępna doktryna**, w której dawał się rozpoznać kształt władzy absolutnej i heroicznej" — mówi młody oenerowiec, Goworek. Dla analizy jakiegoś fragmentu historii nie wystarczają te grube narzędzia, jakimi się przeprowadza sekcję ogromnych połaci dziejów. Trzeba stokroć precyzyjniejszych przyrządów. Tak, jak pojęciowy aparat w „18 Brumaire'a" Marksa jest nieporównanie bardziej czuły, niż system pojęciowy „Manifestu komunistycznego".

Sanacja w Murach Jerycha pokazana jest w swoich sprzecznościach, wewnętrznych antynomiach, które decydują o jej życiorysie. „...**Nieokrzesana starsza wiara** nieuków, prostaków, barbarzyńców, przypadkowiczów za całe przygotowanie, których powoli ma się zastąpić rzeczywistą **staranną elitą**, wyborem jednego pokolenia".

Znajdujemy explicite scharakteryzowaną tę przyszłą rządzącą grupę **nijakich ludzi**: „Panowie są we wszystkim prawie, jak ktoś, w językach prawie jak cudzoziemcy, ubrani prawie jak hrabia, towarzysko oblatani prawie, jak światowcy, umysłowo jak docenci, w koncepcjach politycznych jak mężowie stanu. **Ale prawie!**" Drugie pokolenie kandydatów do władzy to urzędnicy, stróże państwowych tajemnic. Jedyni przyszli kapłani „**społeczno-towarzyskiego rytuału papierowej formalistyki**" (wg. doskonałej charakterystyki biurokratów pióra Chałasińskiego). W skomplikowanej, biurokratycznej machinie orientowali się tylko oni, praktykanci ustroju, dojrzewające pokolenie ludzi, którzy czekają i czyhają, gdzie zwolni się warsztat. Już niektórzy z nich zastępują wysłużoną legionową gwardię: „Już Karnowski został wiceministrem, nie z polityki, ani z wojska, o nie! Właśnie z takiej szkoły, jak oni, warszawskiej intelektualnej formacji".

Oto jeden **ruch** w ekskluzywnym obozie rządzącym.

Sanacja, „spłodzona przez Piłsudskiego z próżnią", poszukiwała popleczników. Zbyt wąską i chwiejną bazę społeczną dla rządu stanowiła armia urzędników. Za kulisami historii wznawiano „feodalne flirty", bowiem nie szło w nich o rękę np. księżny Medekszanki, lecz o **zaręczyny dwóch obozów**. Flirt Jelskiego z Medekszanką i inne flirty to romanse o historycznym znaczeniu. **Przychylne usposobienie wobec oeneru** — wytwór coraz bardziej zaogniającej się społeczno-ekonomicznej sytuacji, w powieści Brezy jest wspaniale przełożone na charakterystykę społeczno-towarzyskiego położenia ostatnich sanatorów. Sanacja na pomoc wezwała drobnomieszczanina, ostatniego obrońcę starego porządku i jego reprezentację polityczną — Obóz Narodowo Radykalny.

Mimo hermetycznego zamknięcia nawiedzają środowisko sanacyjno-oenerowskie niepokoje i widma.

„Jak w dzwonie — szepnął (Jelski) — zapuszcza się człowiek w te **prowincje**, jak w dzwonie podwodnym. **Strach co to za życie.** Wyjść w nie to to samo, co w **noc**".

Przez okno pędzącego pociągu dojrzał Jelski „grupkę chłopów", która chwilę postała spoglądając na pociąg, aż się rozpadła". Inne spotkanie z ludem — kontemplacje galeryjki sztuki ludowej Sztemlerowej, kobiety z kręćkiem na tle ludowości:

„Stał (Skierliński) naprzeciw Krakowiaka, odmalowanego zbiegowiskiem kolorów. Wstąpił dwa schodki i obok wyżej był Ślązak, dalej Kurp, Hucuł, Wołyniak. Od prowincji przechodził do prowincji". Ale minister Dietrich oglądając nawet galerie obrazków, figurynek i garnków ludowych, kolekcjonowanych przez chorobliwą ludomankę jest zaniepokojony: „niech im się tylko czasem nie zdaje, że oni tacy są!... Ale do licha, czy my właśnie tego od niego (chłopa) chcemy, by musiał tak palcem po glinie szczebiotać, jak dziecko".

Mieszkańcy Jerycha są przerażeni czyjąkolwiek ewakuacją poza mury miasta. Rodzice młodego komunisty opowiadają o „stracie" syna:

„Z takiego domu — wyjaśniła myśl męża Dyklertowa — z domu, gdzie z każdego kąta wyłaniają się dzieła sztuki, zabytki naszej kultury — podobne dziecko!

— Strach pomyśleć!"

Starałem się wyłożyć kwestionowane przez M. Kierczyńską prawa Murów Jerycha do tytułu **powieści politycznej**.

Na chwiejność ocen Murów Jerycha wpłynął fakt, że były one pierwszą po wojnie polityczną powieścią o czasach sanacyjnych. Jan Kott przyjął entuzjastycznie Mury Jerycha jako książkę, na którą czekaliśmy. Podnosił jej literackie zalety, uważał za oznakę odrodzenia prozy powieściowej w Polsce.

Melania Kierczyńska znów protestuje: pierwsza powieść o przedwojennej Polsce powinna wyraźniej dyskredytować sanację, powinna mieć powszechny zasięg.

Mam wielu kolegów uniwersyteckich, którzy odłożyli Mury Jerycha przed końcem. Nie przetrzymali wędrówki przez gąszcze metafor, aforyzmów i paradoksów. Nie chcieli się męczyć nad skomplikowaną frazą i zawiłym systemem umownych literackich znaków. Odrzucili powieść, która rozgrywa się poza prawami normalnego czasu. Książkę Tadeusza Brezy odbiera czytelnik wyrobiony pod politycznym i artystycznym względem, literacki smakosz i koneser polityki.

Niewielki krąg odbiorców umniejsza znaczenie Murów Jerycha jako narzędzia w naszej rewolucyjnej praktyce.

---

1) Tadeusz Breza. „Mury Jerycha". Powieść. (Kraków). Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", 1946; str. 334 i 2 nl.

2) „Mury Jerycha", Kuźnica Nr. 31 (49).

3) „Dyskusja nad oceną Murów Jerycha", Kuźnica Nr. 9 (78).

4) Kazimierz Wyka „Powieść o polityce", Odrodzenie Nr. 31 (88), str. 3.

Janusz Lin

Kapitalistyczny Tartuffe

Ludzi dzisiejszych — w każdym bądź razie tzw. cywilizowanych możnaby podzielić na dwie kategorie: tych, którzy chcą kapitalizm utrzymać i ulepszyć i tych, którzy chcą go zlikwidować. Podobnego podziału możnaby dokonać i w nauce. Jest nauka pro- i antykapitalistyczna. Ta pierwsza wychodzi niejednokrotnie z antykapitalistycznych założeń. Wskazuje rozkład i marazm ustroju. Stawia diagnozę starczej degeneracji. Ale w końcu stwierdza, że starca można jednak uleczyć — ba, nawet przywrócić mu młodość.

Tak np. amerykański uczony Schumpeter w wydanej w 1943 roku pracy, konstatując niemoc i wsteczność kapitalizmu, stawia jednak w końcu pytanie: jakiż jednak lepszy ustrój może zastąpić kapitalizm?

Karol Mannheim — socjolog niemiecki działający w Anglii — w wydanej w 1944 r. książce stawia problem nieco odmiennie.

Najprzód kreśli, dość ciemnymi barwami malowany, obraz liberalistycznego społeczeństwa. Otóż: — teza pierwsza diagnozy — równolegle do wzrastającej demokratyzacji społeczeństwa rozwija się proces koncentracji — nie tylko w zakresie ekonomiki, ale i w dziedzinie życia intelektualnego. Dążenia i cele mas wyznaczane są i kierowane przez coraz węższą grupę przywódców — a więc w konsekwencji masy składają na owych przywódców cały obowiązek myślenia i zatracają zdolność wglądu w powiązanie faktów życia społecznego. Czyli — inaczej mówiąc — narasta irracjonalizm i społeczeństwo ulega chaosowi i anarchii. Dwie następne tezy diagnozy, to — pierwsze — brak proporcji pomiędzy rozwojem technicznym i moralnym, i — po wtóre — nierównomierność rozwoju intelektualnego różnych grup społecznych.

Katalog objawów kapitalistycznej choroby jest długi — jak np. zbytnie rozbudowanie i zróżnicowanie grup inteligenckich, brak porozumienia i współdziałania pomiedzy literaturą a publicznością etc. etc. Nie będę mnożyć tez diagnostycznych autora. Zależy mi bowiem jedynie na zobrazowaniu charakteru samej diagnozy. Mannheim zwraca bowiem uwagę na drugorzędne zupełnie niedomagania kapitalizmu — natury intelektualno-moralnej — nie mówiąc o tym, że same tezy wzbudzają liczne wątpliwości. Zapomina — celowo czy mimowiednie — o zasadniczych schorzeniach społeczno-gospodarczych kapitalizmu. O cyklicznych kryzysach. O stałej armii rezerwowej bezrobotnych. O wyzysku klasy robotniczej przez właścicieli środków produkcji. O rugowaniu z ziemi drobnego i małorolnego chłopa przez wielkich posiadaczy, względnie — jak w Ameryce — przez wielkich monopolistów. A co najistotniejsze — pomija cały mechanizm walki klasowej, tak niebywale ustalony dla kapitalizmu.

Diagnoza Mannheima jest rzeczywiście charakterystyczna — dla swoistego rodzaju krytyki kapitalizmu.

Cóż robi autor dalej — po stwierdzeniu objawów choroby? Uznaje niezbędność planowania. Planowanie winno objąć wszystkie dziedziny życia. Klasyfikuje je na typy: bezpośrednie i pośrednie. Analizuje dość szczegółowo dziedziny życia społecznego, w których każde z nich może, względnie winno być stosowane. Zajmuje wybitnie antagonistyczne stanowisko w stosunku do liberalizmu. Stwierdza nawet wzrastające podobieństwo między państwami totalistycznymi a parlamentarno-demokratycznymi. Pierwsze bowiem skupiły w rękach państwa funkcje dyspozycyjne i kontrolne — drugie zaś zmierzają do ich całkowitego przejęcia. Tylko, że przy pojęciu „totalistyczny" stawia znak równości pomiędzy ustrojem faszystowskim i socjalistycznym. I ów znak równości kładzie się — mówiąc dosadnie — krzyżem na całym rozumowaniu Mannheima. Bo nie zdaje on sobie sprawy, że ustrój socjalistyczny umożliwia planowanie dzięki **uspołecznieniu środków produkcji** — ustrój faszystowski zaś dzięki całkowitemu niemalże **utożsamieniu niewielkiej garstki monopolistów z państwem.** Różnica na tyle istotna, że planowanie w ustroju kapitalistycznym — jak wykazał przykład Stanów Zjednoczonych w okresie wojny — powoduje gwałtowną koncentrację kapitału i niwelację drobnej własności — w ustroju zaś socjalistycznym — jak wykazuje przykład ZSRR — powoduje systematyczny wzrost dobrobytu najszerszych kręgów ludności a przy tym umożliwia równomierny rozkład ciężarów społecznych.

Mannheim dostrzega pewne objawy choroby drążącej kapitalizm — ale nie umie zdefiniować jej przyczyn.

I stąd — mimo dość szczegółowej analizy problemu planowania — nie uznaje konieczności uspołecznienia podstawowych gałęzi produkcji i zmiany klasowej podstawy państwa — stwierdza jedynie, że zmianie winna ulec koncepcja własności prywatnej. Przedsiębiorca w ustroju kapitalistycznej planowości pozostanie przy wysokich dochodach, zachowa funkcje kierownicze i pozycję społeczną, utraci jedynie swoją potęgę ekonomiczną.

Mannheim stara się fikcją nieznacznych zmian uleczyć rzeczywistą chorobę. A w ostateczności pozostaje i broni podstaw kapitalizmu.

To zaś była teza wyjściowa mego krótkiego artykułu. Nie wszelka krytyka kapitalizmu jest równoznaczna z podważaniem szkodliwego ustroju.

Winni to sobie zapamiętać również i pewni nasi uczeni, którzy żyją pod czarem pseudokrytyki anglosaskich profesorów.

Zbigniew Wasilewski

Bobrzyński redivivus

Gdzie? Oczywiście w Krakowie.

Wiesław Jażdżyński cytuje w 3-im tegorocznym numerze „Wsi" w artykule „O Związku Walki Młodych" znamienne zdanie z „Dziejów Polski w zarysie" Michała Bobrzyńskiego, które dla przypomnienia przepiszemy raz jeszcze: „Musimy — pisze Bobrzyński na str. 312 t. II swego dzieła — poznać we wszystkich szczegółach objawy i następstwa **zabijającej równości**, ażeby w dzisiejszej pracy społecznej uszanować jednostki, **przodujące siłą swojej tradycji**, talentu, wykształcenia, zasług, ażeby **zdrową hierarchię** wyrobić i utrzymać, ażeby **jedni umieli prowadzić a drudzy** ich popierać i **słuchać**".

Nikt nie chce zaprzeczyć wielkiemu znaczeniu dzieła Bobrzyńskiego w ostatniej ćwierci 19 wieku, w epoce fałszowania historii dla „pokrzepienia serc", kiedy przeciwstawiając się bezkrytycznemu gloryfikowaniu przeszłości sarmackiej spopularyzował on badania rewizjonistyczne, zgodnie ze stanowiskiem „krakowskiej szkoły historycznej" upatrujące przyczyny upadku Polski w wadach ustroju, a więc w winach własnych, wewnętrznych. Mimo to „Dzieje Polski w zarysie" uznać należy ze względu na społeczne poglądy autora za wsteczne, reakcyjne, czego niezbitym dowodem przytoczone wyżej wyznanie wiary Bobrzyńskiego.

Zasięg oddziaływania i wpływ tej książeczki były w swoim czasie bardzo znaczne. Dowodem tego są trzy wydania na przestrzeni dziesięciu lat (do r. 1887). Wystarczy zresztą powołać się na świadectwo Żeromskiego w „Syzyfowych pracach", do których chętnie odwołuje się również W. Jażdżyński. — Jakże dziwiłby się jednak autor artykułu „O Związku Walki Młodych", gdyby wiedział, że nawet na swój czas bardzo — hm!... wątpliwie postępowe (nazwijmy raz jeszcze po imieniu: wsteczne) maksymy Stańczyka — reakcjonisty z roku 1877 w rodzaju przytoczonej na wstępie służą za **obowiązkową strawę duchową** studentom krakowskim w roku 1948 — w sto lat po „Wiośnie Ludów", w połowie wieku socjalizmu, w 3 lata po „łagodnej" wprawdzie, ale przecież — rewolucji!

Dzieło Bobrzyńskiego — późniejszego namiestnika c. k. Galicji i Lodomerii w „nowym", bo z roku 1927 wydaniu, do którego sędziwy autor dołożył „Uwagi nowe" idące... po starej linii, jest bowiem do dziś dnia **obowiązującym i podstawowym podręcznikiem** historii na studium polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Na egzaminach egzekwuje się właśnie z Bobrzyńskiego (i — co również nie pozbawione pikanterii — z podręcznika Sobieskiego) wiadomości o przeszłości Polski. Zdającymi są studenci I i II roku, niekiedy przybyli wprost z prowincjonalnej szkoły a więc pełni niezachwianej wiary w prawdziwość wszystkiego, co napisane w zaleconej przez wykładowcę książce, a więc bezkrytyczni w stosunku do wiedzy głoszonej **ex cathedra.**

Skutki są wiadome i widoczne dla każdego, kto się z tą młodzieżą styka. Jest to oczywiście ważne zagadnienie wychowawcze: dobór treści ideowych, jakimi oficjalnie karmi się młodzież na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Bobrzyński zastrzega wprawdzie na wstępie, że „nie wolno posługiwać się historią dla uzasadnienia jakiegokolwiek z góry ułożonego systemu, dla jakiejkolwiek doktryny i jakiegokolwiek kierunku politycznego" (t. I, s. 21), lecz dzieło jego jest zaprzeczeniem tego założenia, do czego autor rozczulająco i zupełnie niedwuznacznie przyznaje się w posłowiu: „W jakim celu... zapuszczamy się w badania, których wyników bez serdecznego bólu nie podobna spisać i czytać?

Czy samo hasło naukowe, czy same cele umiejętności historycznych mogą do takich badań użyczyć potrzebnej wytrwałości i siły? **Odpowiemy, że nie!...**" (t. II, s. 311). Z dalszych wywodów wynika, że autor nie „zapuszczałby się w badania", gdyby nie miały mu one przynieść jego koncepcji politycznych.

Jakie były te koncepcje — wiemy już dobrze. Weźmy tylko jeden z licznie nasuwających się przykładów (cytuje go też dr. W. Kula w **„Kuźnicy"** nr. 8 z dn. 21.10. 1945 r.): krytyka stanowego egoizmu sejmującej szlachty jest Bobrzyńskiemu potrzebna po to by i w ten również sposób protestować przeciwko... reformie rolnej z r. 1920 i progresji podatku gruntowego (t. II, s. 327). — Czyż trzeba mówić więcej w 3½ roku po wydaniu dekretu z 6.9. 1944?!

Na Gołębiej w Krakowie straszą widma przeszłości...

Post scriptum. Wypadek z Bobrzyńskim nie jest zresztą odosobniony. Na tymże samym studium polonistyki U.J. przerabia się na jednym z seminariów poetyki (również na I roku studiów) jako podstawowe dzieło o wersyfikacji polskiej „Teorią poezji polskiej z przykładami w zarysie popularnym" A. G. Bema z roku 1899(!). Nieszczęśni uczniowie „kują" z zapałem godnym lepszej sprawy „na wtorek od stronicy 65 do 82", „na piątek od stronicy 82 do 90"...

Przypominam sobie, jak w listopadzie ub. r., podczas pobytu w Krakowie, narzekał Stefan Żółkiewski, że ciągle jeszcze na uniwersytetach polskich podręcznikiem poetyki jest stary Tomaszewski. Ale książka Tomaszewskiego wyszła już w okresie dwudziestolecia, a jej polskie wydanie nosi nawet datę 1935. Tymczasem Bem...

Krakowie, Krakowie, starodawny grodzie!...



STO LAT TEMU 1848–1948

POD REDAKCJĄ DR. WITOLDA ŁUKASZEWICZA

Wiktor Heltman

SZLACHTA, POWSTANIE, ORGANIZACJA SPOŁECZNA*)

Szlachta polska, jako stan, kosztem reszty narodu własne istnienie utrzymujący, wzięta w całej masie, bez względu na dzielące ją odcienia i różnice, jest z natury swojej przeciwną każdej reformie socjalnej, śmierć polityczną przywilejom niosącej; a, że reforma taka jest niezbędnym warunkiem odzyskania niepodległości, przez konieczne zatem następstwo, stan ten za siłę szkodliwą, pod politycznym nawet względem uważany być powinien.

To ogólne twierdzenie modyfikuje się wszakże, zstępując do pierwiastków stan szlachecki składających.

*Arystokracja polska**) ten anti-narodowy żywioł, który nie mając nigdy politycznie uznanej egzystencji, stał jednak przez kilka ostatnich wieków na czele stanu szlacheckiego, odpierać musi całymi siłami swoimi każdą demokratyczną formę, a dla jej odwrócenia, jak dotąd nie wahał się u stóp najezdników narodową niepodległość składać, tak i teraz gotów jest zdradzić własną ojczyznę. Nie ma on już żadnej moralnej siły. Przez znaczną część szlachty od dawna odpychany, po tylekroć zawiódłszy położone w nim zaufania, przy coraz więcej rozjaśniających się pojęciach, traci codziennie wpływ niegdyś na cały stan szlachecki wywierany. Bez tego wpływu, tej moralnej przewagi, może on jeszcze przez bogactwa, oświatę i rozległe stosunki swoje, stawiać przeszkody w chwili przygotowawczych działań; ale w stanowczym ruchu za siłę demokratycznej sprawie niebezpieczną uważany być nie może. Arystokracja polska jest bez przyszłości. Ostatnie powstanie i obecne tułactwo, wieczny jej grób wykopały. Szlachta właściwa, ta, która niegdyś zamożną massę panującego stanu składała, nie jest, jak arystokracja, z narodowych uczuć wyzuta. W łonie jej tli nieustająca żądza zrzucenia obcego jarzma; krwią najszlachetniejszych jej synów oblało się każde narodowe powstanie; i dziś w imię niepodległości największe nawet poniesie ofiary, byleby niepodległość zostawiła ją na dawnym politycznym, a przynajmniej socjalnym stanowisku. Dla tego massa jej, myśl przywileju żywiąca, rewolucji społecznej, a tym samym jedynym środkom odzyskania niepodległości przeciwną być musi.*

W łonie jej nie ma już oddawna potrzebnych do skruszenia obcego jarzma żywiołów. Numeryczna jej potęga zbyt jest słabą; materialne zasoby niewielkie; dawna zamożność, klęskami publicznymi, nierządem, zbytkowym życiem w ubóstwo po większej części zmieniona; umysłowe tylko wykształcenie nadaje jej rzetelną w społeczeństwie naszym przewagę. Dla braku przeto środków nie jest ona w stanie ani obcej przemocy sama zrzucić, ani prawdziwej narodowej potęgi raz poruszonej do bezwładności przyprowadzić. W ciągu przygotowanych działań może jeszcze, tak jak arystokracja, z postępem wyobrażeń otwarte walki staczać, albo przybierając maskę demokracji, obecny ruch paraliżować; ale nie ośmieli się wystąpić przeciwko ludowi wtenczas, kiedy massy jego w groźnej postawie o prawa swoje u obcych najezdników i u niej samej dopominać się zaczną.

Pomimo to, ma ona jednak znaczne siły, demokratycznej sprawie sprzyjające.

Stan szlachecki z upadkiem ojczyzny politycznie istnieć przestał; bezskuteczność usiłowań, którym dotąd przewodniczył, klęski, których stał się przyczyną, i nowe pojęcia, coraz więcej podkopujące samą przywilejów istotę, odjęły mu jeszcze całą moralną siłę, do zupełnej moralnej dyssolucji przyprowadziły. Ale jak w każdej rozwiązującej się społeczności wyrabiają się zawsze nowego życia pierwiastki, tak je wyrabia również i nasza dawna społeczność szlachecka. Wszystko co w niej jest szlachetne, wzniosłe, do poświęceń zdolne, opuszcza szeregi starej społeczności, depce jej przesądy, rozdziera pergaminy, a młodą myśl, nowe życie zwiastującą, z zapałem przyjmie. Wśród tego ruchu pierwsze zapewne miejsce trzyma młodzież, boskim tchnieniem ostatnich walk ożywiona, zimną egoizmu rachubą nie zarażona jeszcze. W tym nowym pokoleniu rozwijają się wielkie moralne i umysłowe siły, które w przygotowawczych zwłaszcza działaniach, kiedy myśl nasza do ludu się przenosi, ważną rolę grać mogą.

Ale nie na tym jeszcze kończą się siły, jakie stan szlachecki odradzającej się ojczyźnie przy swoim nawet rozwiązaniu przyniesie. W nim rozwijała się przez długi czas myśl demokratyczna; pod jej wpływem wyrabiały się narodowe pojęcia; na niej oparte były wszystkie prawie instytucje. Myśl ta, chociaż w szczupłym jednego stanu obrębie zamknięta, nie przestawała jednak właściwym sobie sposobem kształcić się i doskonalić; wracając przeto do pierwotnego źródła, rozlewając się na całą masę narodu, przyniesie z sobą te nabytki, jakimi ją kilkowiekowe rozwijanie się zbogaciło. Światło wieku usunie zboczenia; zdrowe żywioły staną się wspólną wszystkich własnością. Ważne korzyści, których pozbawione są narody pod berłem absolutyzmu ciągle żyjące.

Ostatni szczebel, szlachta drobna, pergaminem tylko, jak mówi sekcja Montpelliera, do uprzywilejowanego stanu przyklejona, najmniej mieści w sobie pierwiastków demokratycznej sprawie przeciwnych. Pozycja socjalna znacznej ich części zbliża ją do ludu; dawne przesądy jedynie oddalają. W społecznej reformie nic prócz tych przesądów nie mając do stracenia, nie może jej być przeciwna, a tym samym i środkom do odzyskania niepodległości koniecznym.

I w stanie więc uprzywilejowanym, który z natury swojej jest anti-demokratyczny, są jeszcze siły, siłom ludu rzeczywistą pomoc przynieść mogące.

*) Wyjątek z rozbioru kwestii: „Jakie są wewnętrzne siły społeczeństwa polskiego, uważanego pod względem socjalnym i politycznym". Poitiers, 1838, p. 27.

**) Właściwie całą szlachtę polską, tak jak każdy stan uprzywilejowany arystokracją nazwaćby należało. Względnie jednak uważając, nasi panowie czyli magnaci są arystokratami dla szlachty, jak ta jest arystokracją dla reszty narodu.

FAKTY I ZDANIA

Jeszcze jeden głos o egzystencjalizmie

Artykuł prof. Bohdana Suchodolskiego w „Przeglądzie filozoficznym“ na temat egzystencjalizmu jest pierwszą chyba w Polsce próbą krytyki merytorycznej tej filozofii, powstrzymującą się od jej wartościowania. Suchodolski zwraca uwagę przede wszystkim na wieloznaczość pojęcia „egzystencjalizm“. Wyróżnia w nim dwa zasadnicze kierunki: pierwszy zajmuje się analizą pojęciową istnienia w celu wykrycia jego form strukturalnych, drugi pojmuje istnienie w znaczeniu jednostkowym, z punktu widzenia doświadczenia istniejącego konkretnie człowieka. Za protoplastę pierwszego kierunku może być uważany Heidegger, drugiego Kierkegaard. Kierunek heideggerowski według Suchodolskiego nie może wybrnąć z niekonsekwencji pomiędzy ontologicznym obiektywizmem a wiedzą opartą na empirii psychologicznej, kierunek kierkegaardowski mający wyraźnie empiryczny charakter, stawia tym samym siebie de facto poza granicami wiedzy filozoficznej. W związku z tym Suchodolski jest zdania, że egzystencjalizm jako prąd filozoficzny nie da się utrzymać, że jest to tylko nowy wyraz odwiecznego konfliktu pomiędzy ogólnym charakterem myślenia ludzkiego a jednostkowym charakterem istnienia.

Suchodolski referuje wszystkie możliwości genetycznego zinterpretowania egzystencjalizmu. Pierwszą możliwością jest powiązanie tego prądu z przełomowym okresem historycznym, w jakim żyjemy. Sami egzystencjaliści aprobują taką interpretację, stwierdzając, że problematyka egzystencjalistyczna oddziaływuje na człowieka z różnym natężeniem w zależności od sytuacji, w jakiej dany człowiek się znajduje. Drugą możliwością jest powiązanie egzystencjalizmu z kryzysem mieszczaństwa, z jego znużeniem i zniechęceniem. Suchodolski odmawia słuszności temu rodzajowi interpretacji odnośnie wszystkich odmian egzystencjalizmu, bowiem, jak stwierdza, obok pesymistycznego istnieje również optymistyczny kierunek tej filozofii.

Omawiając związki łączące egzystencjalizm z marksizmem, Suchodolski twierdzi, że pomimo pozornie diametralnych różnic da się ustalić pewne punkty wspólne. Mogą być nimi 1) wspólna walka z idealizmem heglowskim; 2) pojęcie człowieka „zakorzenionego w bycie“, jako odpowiednik marksistowskiego determinizmu; 3) przeciwstawianie się tendencjom do abstrakcyjnego uniwersalizmu przy jednoczesnym popadaniu w doktrynerskie pokusy (?); 4) problem przywrócenia człowiekowi jego pełnych wartości po unicestwieniu dewaluujących go determinant. Ostatni punkt łączy marksizm szczególnie z optymistycznym kierunkiem egzystencjalizmu. Odnośnie drugiego punktu, Suchodolski referuje dalej poglądy niektórych badaczy niemieckich, którzy z całą gotowością akceptują tezę o zakorzenieniu człowieka w bycie, rozumiejąc przez pojęcie bytu rzeczywistość rasowo-biologiczną, rzeczywistość narodowej wspólnoty lub misji historyczno-politycznej. Fakt ten — niezmiernie pouczający dla tych, którzy widząc w tezie o „człowieku zakorzenionym w bycie“ objaw determinizmu, skłonni są z lekkim sercem łączyć egzystencjalizm z marksizmem, zmusi zapewne tych panów do wyeksplikowania, jaki to ma być determinizm.

Witold Jedlicki

Chmielowski aeternus

Na U. J. wymaga się wiedzy oficjalnej czerpanej z podręcznika Bobrzyńskiego. A na U. Ł. do colloquium z „metodologii historii literatury“ na I roku przygotowują się studenci — wg. wskazań spisu lektury — z podręcznika Chmielowskiego („Metodyka historyi literatury“), wydanego w r. 1899. Ten liczący sobie bez mała pół wieku podręcznik uchodzi za ostatni wyraz najnowszych tendencji metodologicznych we współczesnej wiedzy o literaturze. Studenci uczą się — wg. podręcznika — na pamięć m. in. następujących prawidłowych i poprawnych odpowiedzi na zadawane przez egzaminującego pytania:

„Co to jest kompozycja?“ „Kompozycja jest to stosunek części do całości“

„Co to jest literatura?“ „Literatura jest to ogół utworów ducha ludzkiego, wyrażających myśli, uczucia i ideały ludzkości lub pewnego narodu za pośrednictwem pięknego słowa“.

Mądrej głowie dość dwie słowie.

j. m.

Polityka ogłupiania i polityka zastraszania

Pisma katolickie takie jak „Rycerz Niepokalanej“ czy „Królowa Apostołów“ obliczone są w swych aspiracjach na „szare masy“ wiernych. Z tego wynikałoby, iż powinny służyć one podnoszeniu wiedzy i świadomości swych mniej niż przeciętnych czytelników. Wówczas ich istnienie miałoby społeczny sens.

Widocznie jednak wydawcy i ich protektorzy mając na uwadze potrzebę władania „duszami maluczkich“ obawiają się choćby najmniejszych dawek rzetelnej wiedzy.

Do takiego stwierdzenia doszedłem przeglądając nowy styczniowy numer „Królowej Apostołów“. Na szesnastu stronach tego pisma nie znalazłem nic poza tym, co musi przyprawiać o zamęt w głowie. Jest to całkiem słuszne zresztą z punktu widzenia wydawców. Nie można zrozumieć, pojąć, pogodzić tego metafizyczno-duchologicznego gąszczu ze zdrowym, trzeźwym rozsądkiem — a więc należy wierzyć.

Cały numer łącznie z artykułem Jana Dobraczyńskiego „O człowieku mało znanym“ kwalifikuje się tylko na makulaturę.

Aby nie zostać pomówionym o gołosłowność, zacytuję bardzo charakterystyczne dla bzdurnej mentalności „pisarzy“ z „Królowej Apostołów“ wyjątki. Tytuł „artykułu“: „Próba czasu“ — autor ukryty pod literami J. Z.

„Koniec wieku XIX był w Europie Zachodniej okresem „naukowego“, dziś już przebrzmiałego ateizmu. Nic też dziwnego, że w r. 1894 młody, 22-letni powieściopisarz francuski, Emil Zola, pokusił się o rozwiązania zagadki, niepokojącej umysły niedowiarków. Owocem jego „badań“ była książka — pamflet na Lourdes, którą zwolennicy „naturalizmu“ uznali za decydujący cios, co miał zburzyć kult, powstający dokoła groty Massabielle.

Lata płynęły. Emil Zola zdobył stanowisko znanego pisarza. Marzy o laurach wielkiego Balzaka. Ale rozgłos, który uzyskały jego powieści: „Rougon Maquart“, „Klęska“ i inne cichnie coraz bardziej. Nazwisko Zoli staje się powoli jedną z nielicznych pozycji w podręcznikach historii literatury.

Tymczasem nazwisko pasterki, Bernadetty Saubirou, którą młody ateusz starał się zniesławić — nie tonie w zapomnieniu. Przeciwnie, sława małej świętej przebywa granice czasu i przestrzeni, przekracza oceany, dociera nawet do ludzi, stojących poza Kościołem“.

„Tak więc mała Bernadetta żyje coraz realniej w świadomości ludzkiej przez swoje dzieła i cuda jej Pani, gdy imię tego, który chciał zgasić jej sławę — blednie i gaśnie z roku na rok“.

Na tym przykładzie sprawdzić możemy, z jaką doskonałością zaprezentowano tu metafizyczną historię literatury.

Ukoronowaniem wywodów „pisarza“ jest głos niby trąby jerychońskie wieszczący apokaliptycznym językiem zagładę tych, co podnoszą się na „prawdę słowa bożego“.

„Taki los musi dotknąć w przyszłości wszystkich, co występują przeciw Bóstwu Syna Bożego i przeciw boskiemu pochodzeniu Jego Kościoła“.

Cytującemu te słowa ścierpła z trwogi i strachu skóra. Ale trudno. Już za późno — notka gotowa.

Józef Kompot

Pochwała parafiańszczyzny

Nie tak dawno jeszcze ludzie światowi, bywalcy używali wyrazu „parafia“ w podwójnym znaczeniu. Raz do określenia gminy kościelnej pod względem terenowym, a następnie do podkreślenia, że coś jest nieokrzesane, naiwne i śmieszne. Kpiono z parafiańszczyzny u nas, kpiono i gdzie indziej.

Węgierski pisarz Maurycy Jokai w powieści „Poruszymy z posad ziemię“ przedstawia szczególnie komiczny przypadek parafiańskiej prostoduszności parobków w pewnym folwarku położonym w pustkowiu, daleko od kościoła. Dziedzic majątku stanął wobec kategorycznego żądania służby, że albo będzie sprowadzał od czasu do czasu pastora dla odbywania wspólnych nabożeństw, albo też wszyscy odejdą od niego, i udadzą się po pracę gdzieś bliżej kościoła. Sytuacja wydawała się coraz trudniejsza i tylko przypadek ułatwił jej pomyślne rozwiązanie. — Do dworu przybyła grupa wędrujących studentów. Dziedzic przyjął ich, lecz pod warunkiem że wezmą na siebie rolę pastorów i będą prowadzili przez trzy dni modły z jego parobkami. Studenci przystali na propozycję, podstęp nie wydał się, a ludzie modlili się i wyśpiewywali psalmy za wszystkie czasy. Na drugi dzień zgłosiło się tylko kilku wiernych, a na trzeci nikt. Mieli dosyć nieustającego nabożeństwa, które przeszło do historii okolicy.

Podobne zupełnie zdarzenie, ale już u nas i z ostatniej doby opisuje Paweł Jasienica w Tygodniku Powszechnym (Nr 5, „Mieszany naród“) udając, że go ono nie śmieszy.

Zachłystując się najpierw w pochwałach parafii w dziejach Polski — bez niej nie byłoby typowo polskich anegdot — przytacza autor taką oto scenę: „Jakoś na jesieni 1945 r. do ks. dr Edmunda Nowickiego z Gorzowa przebywającego akurat w Poznaniu zgłosił się jakiś sowiecki pułkownik. Taszczył ze sobą wielki pakunek.

— Wy jesteście biskup z Gorzowa?

— Ja. A czego chcecie?

— **Nu i ładno.** Mnie potrzeba **cerkownago wina, cerkownago chleba i popa.**

— Po cóż wam?

— Sprawa jest taka. Ja administruję trzema majątkami państwowymi. Tam są i zakłady przemysłowe. Ludzie nie chcą u mnie pracować, bo księdza i kościoła nie ma. **Nu tak ja postroił tri cerkwi, kupił siem ikon.** — Rozwinął pakunek, pokazał cztery wizerunki Chrystusa i trzy Matki Boskiej — a tera koniecznie potrzebuję wina kościelnego, i księdza“.

Narzuca się przy tym dręczące pytanie. Co sobie o tym wszystkim myślał ów radziecki pułkownik i czy P. Jasienica na prawdę kanonizuje parafiańską prostotę ludzi, dla których roztropny sowiet „postroił tri cerkwi i pokupił siem ikon“. Czy tylko śmieje się do rozpuku, tak samo, jak węgierski dziedzic ze sztuczki z fałszywymi pastorami?

Jerzy Falenciak

O transportowaniu ideologii

Fala protestu przeciw Planowi Marshalla, jaka ogarnęła Europę, zmusiła amerykański Kongres Organizacji Przemysłowych do zbadania stosunku Ugrupowań Społecznych USA do planu „uzdrowienia Europy“.

Wyniki badania ogłosił James B. Carey — członek Komitetu Wykonawczego Światowej Federacji Związków Zawodowych. Stwierdził on, że z wyjątkiem organizacji Postępowych Obywateli Ameryki, prowadzonej przez Henry Wallace'a wszystkie inne partie, a szczególnie farmerzy — poparły Plan Marshalla.

„Im bardziej libralnymi są dane grupy — powiada Carey — tym bardziej opowiadają się one za Planem Marshalla...

Jestem tutaj nie po to, aby mówić o ideologiach, ponieważ nie będziemy eksportować z Ameryki ideologii, ale sztuczne nawozy, maszyny rolnicze, środki transportowe, bawełnę i stal. Chcemy eksportować to — mówi do Europejczyków Carey — co was nakarmi, odzieje i co będziecie mogli zużytkować w waszych fabrykach“...

Nie trudno domyśleć się, że osławiony Plan Marshalla jest niczym innym, jak próbą realizowania planu kapitalistycznych producentów amerykańskich, którzy za wszelką cenę chcą opanować europejski rynek towarowy, szczególnie zaś rynek surowcowy, aby w ten sposób wpływać na stosunki produkcji w przemyśle europejskim, a za tym utrzymywać pożądany dla siebie układ stosunków społeczno-gospodarczych w zniszczonej Europie.

Pan Carey jest jednak po to, aby mówić o **transporcie ideologii do Europy.** Jego grę przejrzeć nie trudno, stąd przecież opór narodów europejskich przeciw Planowi Marshalla, które nie chcą być półkolonią w kapitalistycznym systemie gospodarczym USA.

Bufallo Bill

O „nie sprytnym“ dziennikarzu

„Studenci nie mają z czego żyć, studenci marzną i głodują — napisze czasem sprytny dziennikarz, gdy mu zabraknie stu wierszy do wyrobienia normy“. Tak ocenia p. Jerzy A. Górski („Troska materialna młodzieży“ „Dziś i Jutro“ Nr 1 (110) dotychczasowe wypowiedzi w prasie na temat warunków studiującej młodzieży.

Pan Górski nie jest „sprytnym dziennikarzem“, znalazł bowiem właściwe jego zdaniem rozwiązanie problemu „nędzy akademickiej“.

Na wstępie swego artykułu stwierdza autor z żalem, że na skutek przeprowadzenia reformy szkół wyższych **„wbrew przewidywaniom** mury uczelni nie drgnęły nawet, nikt prawie nie podał się do dymisji i nikt z młodych **nie popełnił samobójstwa“.** A szkoda. Sensacyjne wiadomości przemieniłyby „Dziś i Jutro“ w „Ekspress Wieczorny“, co może przyniosłoby większy pożytek i autorom i czytelnikom.

Nieco dalej dochodzi p. Górski do wniosku, że studenci cierpią nędzę, gruźlica szerzy się w strasznych rozmiarach, stołówki akademickie to — „głodne kuchnie“ wreszcie — obecne przeżycia uczącej się młodzieży usuwają w cień legendarnych akademików Prusa i Żeromskiego. Bezpośrednio za tą litanią, podąża spis przyczyn:

„Ciocia UNRRA wyzionęła ducha wskutek starczo - politycznego uwiądu“, a sami „rozkładamy ręce — nic nie możemy zrobić“. Towarzystwo Przyjaciół Młodzieży Szkół Wyższych chociaż „nosi tytuł długi i groźny“, prowadzi swe prace w ten sposób, że „rezultatów nie widać“. Nie zapomniano i o czynnikach miarodajnych, które „założyły ręce“ i nie chcą pomóc biednym studentom.

Na tym kończy p. Górski przegląd spraw akademickich dotyczących „brudnego materializmu życiowego“ i przechodzi do zagadnień jego zdaniem o wiele ważniejszych.

„Młodzież ta pogrąża się w rozpaczliwej bezideowości. Nie chodzi tu bynajmniej o zapatrywania polityczne — te bowiem są kwestią co najmniej drugorzędną. Ideą mogą być i powinny być same studia...“ A więc nie odniesione do rzeczywistości kulturalnej, społecznej czy gospodarczej — studia mają stanowić kręgosłup ideowy akademika. I co jeszcze? Posłuchajmy p. Górskiego:

„Zasadniczo działają na wyższych uczelniach przede wszystkim młodzieżowe przedłużenia partii politycznych organizacji studenckich. **To nie jest dobrze** — woła p. Górski — tym więcej, że działalność organizacji katolickich Caritasu, Sodalicji, Juventus Christiana nie zawsze jest na odpowiednim poziomie“.

Teraz już wiemy, gdzie leży zło. Na terenie akademickim nie powinny istnieć organizacje polityczne. Młodzieży wystarczy w zupełności „idea samych studiów“ i stowarzyszenie katolickie.

Koledzy akademicy! Pamiętajcie więc, że nie czynniki miarodajne i nie wasz związek z istotnymi dziejami gospodarczymi narodu da wam ciepłe odzienie, mieszkanie, czy wyżywienie i wyleczy was z „pustki ideologicznej“, ale czysta nauka i „opatrznościowe“ stowarzyszenia katolickie, podnoszące was z „upadku moralnego“.

Wszystko zatem wiadome. Pozostaje tylko spytać czy i panu Górskiemu nie zabrakło czasem „stu wierszy do normy“ i stąd jego artykuł?

Akademik

Osobliwe metody

Francuska krytyka literacka posługuje się czasami bardzo nowatorskimi metodami badań. W 37 numerze skrajnie prawicowego pisma „La nef“ niejaki Jean Follain, tak komentuje świeżo wydany zbiór nowel Saroyan'a: „Saroyan jest Ormianinem i Amerykaninem. Z Ormianina posiada ponurą melancholię ras transplantowanych i także ciekawe poczucie codziennej nadzwyczajności. W tej melancholii, w tym poczuciu miesza się ta poezja odcieni, jak w kwiecie o skórze właściwej Amerykanom. Wszystkie nowele tego zbioru charakteryzują się zdumiewającą delikatnością“.

To jednak duży postęp od czasów hrabiego Gobineau. Przyznać tak niskiej rasie, jak Ormianie, tak subtelne cechy psychiczne.

Witold Jedlicki

Wokulski a Pakulski

Wszczęta przez Jana Kotta dyskusja o „Lalce“ Bolesława Prusa przeszła już przez szereg faz. O*ecnie weszła w nowy etap, rozpoczęty artykułem tegoż autora p. t. „Lalka po raz ostatni“, (Kuźnica Nr 5).

W czasie między dwoma wojnami nie było w Polsce okręgu szkolnego, w którym by rok rocznie nie zadawano wśród piśmiennych egzaminów maturalnych jednego przynajmniej wypracowania na temat „Lalki“. To samo można powiedzieć o „Ludziach bezdomnych“ Żeromskiego.

Tytuły tych wypracowań były różne a więc „Wokulski a Judym“, „Czy Wokulski był romantykiem?“, „Służba społeczna Wokulskiego“, „Wokulski a Rzecki“ i t. d. — i t. d. Na obszarze jakiegoś tam kuratorium wypłynął podobno temat „Wokulski a Irydion“. Śmieliśmy się, że u nas w moim roczniku maturalnym będzie „Wokulski a Pakulski“. — Ostatecznie z trzech tematów jeden nosił tytuł: Czy Wokulski był romantykiem?

Nie byłoby nic w tym znamiennego, gdyby nie wypracowanie kolegi Alfreda M., dziś już nieżyjącego, syna kupca branży owocarskiej. Wypracowanie swe dzięki któremu, o mało nie przepadł na egzaminach, Alfred M. zakończył takimi mniej więcej słowami: „Wokulski nie miał w sobie nic z kupca, a tylko kupca udawał. I dlatego nie można zrozumieć, że doszedł do takich pieniędzy“.

Konkluzja ta, bez precedensu naukowego na owe czasy, niech służy dzisiejszym polemistom w sporze nad „Lalką“. A biedny Fredzio M. jest tak czy inaczej nieznanym prekursorem Jana Kotta, Zygmunta Kałużyńskiego, Janiny Kulczyckiej — Saloni, Jana Aleksandra Króla, Kazimierza Budzyka i innych godnych, chociaż różniących się na ogół między sobą w ujmowaniu bohatera tej powieści.

j.f.

W OSTATNIM 6 (135) NUMERZE „WSI“ z dnia 8 lutego 1948 r.

Redaktor naczelny — **Jan Aleksander Król.**

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁOWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł; 1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 5.000 zł.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 40.—zł, kwartalnie 120.—zł, półrocznie 240.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII — 1080.

Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik“ Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—018423